

Jerzy Z. Sobolewski

# ***MIĘDZY ROSPUDĄ***



# ***A CZARNĄ HAŃCZĄ***

Warszawa, Rotmanka 2015

# WSTĘP

Jest lipiec 2008 rok. Odwiedza mnie córka Iwona, mieszkająca obecnie w Teksasie. Przyjeżdża nie sama, ale z synem Piotrem i z mężem Dawidem. Beata, przyjaciółka Iwony, organizuje spotkanie na Mazurach, córka namawia mnie na ten wyjazd. Piszę e-maila do Beaty prosząc o szczegóły i oto odpowiedź:

*„Ale super, że się pan odezwał. Wyjazd jest do miejscowości Jęcznik nad jeziorem Gromkim (koło Szczytna). Jedzie też Tomek M. z Kasią (zna Ich Pan, bo byli kiedyś na spływie). Tam jest bardzo ładnie, piękna, rozległa łąka, pomost nad jeziorem. I tylko trzeba się modlić, żeby pogoda dopisała. Będziemy jechać samochodami, więc jakoś Pana zabierzemy i Iwonę z przyległościami też. Jedyne co trzeba załatwić dla Nich to namiot i materace....”*

Iwona wraz z bratem Wojtkiem byli niedawno na spotkaniu z dawnymi kolegami. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych była to grupa młodzieży ze Spółdzielni Mieszkaniowej z Ochoty. Spółdzielnia stworzyła klub młodzieżowy, który prowadził legendarny pan Marcin organizujący różne imprezy turystyczne. Kiedyś kupiono także kajaki i zaczęły się wyjazdy na spływy. Ponieważ do klubu należały też moje dzieci, a ja mam uprawnienia, jako przodownik turystyki kajakowej do prowadzenia spływów, poproszono mnie o organizację jednego z nich. Pierwszy spływ z moim udziałem odbył się w 1980 roku na Mazurach, z Ławy przez jezioro Jeziorak kanałem w okolicy Ostródy. Za rok prowadziłem następny na pojezierzu augustowsko-suwalskim.

W trakcie relacji moich dzieci ze spotkania wyciągnąłem notatnik, w którym wpisywałem krótkie uwagi z tych spływów. Z trudnością odczytywałem hieroglify sprzed prawie 30 lat. Niektóre nawet były zabawne, więc zacząłem je odczytywać w obecności moich już dorosłych dzieci.

– Tato, wprowadź te notatki do komputera, my też chcielibyśmy je przeczytać – poprosiły.

Pobyt nad jeziorem z kilkoma uczestnikami spływu wywołał fale wspomnień. To spowodowało, że sięgnąłem znowu po notatnik. Przekonałem się ze zdumieniem, jak bardzo zawodna jest pamięć ludzka. Gdyby nie tych parę zdań, niekiedy tylko haseł z każdego dnia pobytu, nie pamiętał bym prawie niczego, ani nikogo. Gdy czytałem imiona: Dorota, Rafał, Ignaś, Tomek, Kasia - to nawet nie potrafiłem przypomnieć sobie ich twarzy.

Mając trochę wolnego czasu – zacząłem odcyfrowywać moje bazgroły. Jedna historia, przewijająca się przez notatnik z podróży zainspirowała mnie najbardziej do pisania. Bohaterem jej jest **CHLEB**. Ze zdumieniem czytałem, jak każdego dnia spływu problemem było nie przepłynięcie jakiegoś trudnego odcinka rzeki, czy walka o przeżycie na jeziorze podczas burzy, ale ...kupno chleba. Te opowieści o braku chleba z dzisiejszej perspektywy wydają się tak niewiarygodne, że postanowiłem je utrwalić nie tylko dla siebie i najbliższych ale przede wszystkim dla ludzi młodych, którzy nie mogą mieć pojęcia co się w tych czasach działo. A czasy to były niezwykle, czasy legalnego działania Solidarności zakończonych

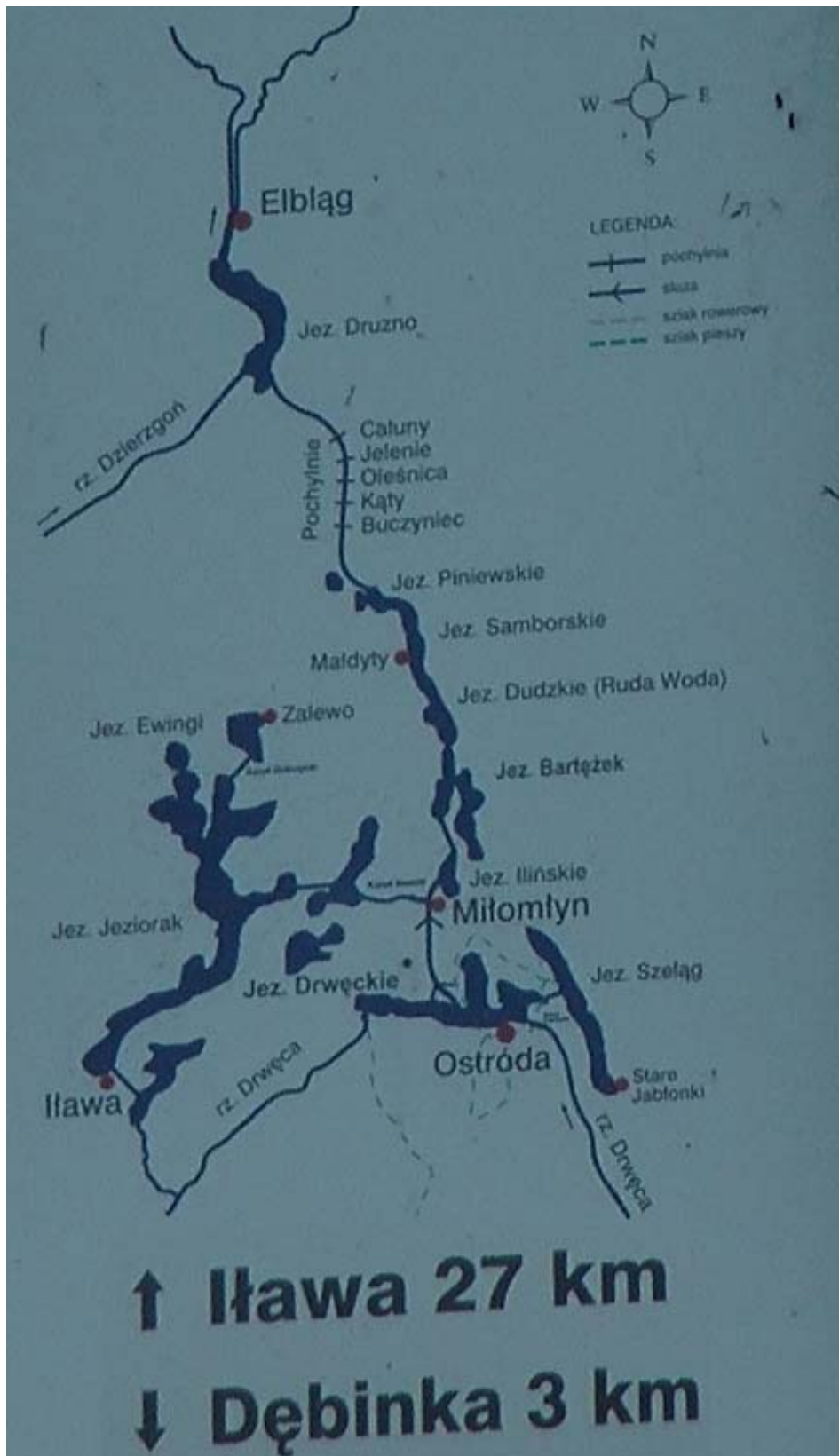
ogłoszeniem stanu wojennego. Starszym też się przyda odświeżenie pamięci, przypomnienie do jakiego upodlenia można dojść w systemie totalitarnym. A poza tym trochę przygody, oderwania się od codziennego kieratu. Kiedyś literatura pełna była różnych opowieści o podróżach. Teraz można podróżować wirtualnie po dziwnych egzotycznych niekiedy krainach, jakże odmiennych od tych swojskich - ze zielenią i szumem sosnowych i świerkowych lasów, z naszymi rzekami i jeziorami, śpiewem ptaków i przygodą w swoim kraju. Tym wszystkim, którzy właśnie lubią przygodę, wodę, las, ognisko, pływali kiedyś kajakiem (a może pływają lub złączą pływać), ten reportaż może posłużyć do przywołania ich własnych wspomnień z wakacji. Ja osobiście odczuwam niedosyt literatury o takiej tematyce. A prawie nie ma wcale opowieści o kajakarzach! Jedną - pod tytułem „Kajak i przygoda” – już napisałem. Została wydana w wydawnictwie Novae Res w Gdyni w 2012 roku. Jest ona dostępna w księgarni internetowej *zaczytani.pl*.

Ale, ale - notatki ze spływu przepisywane na komputer zaczęły mnie stopniowo wciągać i żyć własnym życiem. Podczas pisania przypominałem sobie historie i sprawy dotyczące nie tylko bezpośrednio spływu ale i innych spływów które tu odbywałem, a także te związane z terenami między Rospudą a Hańczą - krainą mego dzieciństwa ....

Warszawa, Rotmanka 2015 r.

## Rozdział I

# Spływ na Jezioraku 1980



Po spływie Sanem w lipcu 1980 roku, który opisałem skrótowo w książce *Kajak i przygoda*, wróciłem ze zwichniętą nogą w kostce. Po prześwietleniu lekarz zalecił mi wpakowanie nogi w gips i unikanie ruchu. Zgodziłem się tylko na bandaż elastyczny, bo właśnie szykowałem się na kolejny spływ z kilkunastoma młodymi na Jezioraku.

Miałem nieco inne zdanie niż lekarz – sptyw traktowałem jako wyśmienitą formę rekonwalescencji, bo bandaż umożliwiał mi pływanie.

Wcześniejsze doświadczenie związane ze zwichnięciem nogi na sptywie Metalowców w 1976 roku pamiętałem aż za dobrze. Nie chciałem, by się powtórzyło. Wtedy po przepisowym trzytygodniowym terminie sam zdjąłem samodzielnie gips z nogi, ponieważ w pogotowiu na Hożej zabrakło lekarza. Poprosiłem tylko o odpowiednie nożyce do cięcia. Chora noga wyglądała normalnie, lecz gdy doszedłem do Marszałkowskiej, spuchła znów jak bania i zemdlałem z bólu. Dobrzy ludzie sprowadzili taksówkę (telefonów komórkowych wtedy nie było), która umożliwiła mi dojechanie do domu, wzięcie niezbędnych ciuchów i dojazd na Dworzec Zachodni, skąd odjechałem nad jezioro Lucień na pojezierzu Gostynińskim. Tam czekała w obozie ZSP fajna impreza, ale nim doszedłem w skwarze sierpniowego słońca z przystanku autobusowego do ośrodka, a była to odległość ponad jeden kilometr, parę razy też mało nie straciłem przytomności. Moja determinacja została wynagrodzona. Po przybyciu natychmiast rzuciłem się w wodę jeziora. Po godzinnym pływaniu opuchlizna zniknęła i noga wróciła do normy. No, może nie do końca, ciągle mnie trochę bolała, ale udało mi się zatańczyć parę wolnych kawałków na dyskotecce. Fakt, że partnerka musiała wykazać się odpowiednią sprawnością fizyczną i zapewnić mi odpowiednią stabilizację ruchów.

Na sptyw na Jezioraku zgodziłem się tylko dlatego, że w grupie znajdowały się również moje dzieci, czyli Iwona, która miała wtedy siedemnaście lat i Wojtek, młodszy od niej o ponad trzy lata. Jak już wspominałem, paczka młodych należała do grupy turystycznej przy WSM na Ochocie prowadzonej przez legendarnego pana Marcina, który prowadził z młodzieżą różne imprezy turystyczne. Akurat tego roku pan Marcin zaniemógł i wtedy moje dzieci zaproponowały mnie jako kierownika sptywu. Ponieważ miałem wszelkie uprawnienia i kwalifikacje kajakarskie, Spółdzielnia zawarła ze mną stosowną umowę i pewnego lipcowego dnia 1980 roku pod mój barak w osiedlu akademickim na Jelonkach podjechała Nyska wyładowana siedmioma kajakami składanymi. O Nysce muszę teraz napisać kilka słów, bo poruszała się ona siłą woli i zabiegów ferajny z Ochoty. Musiałem użyć tego słowa do określenia młodzieży, bo dopiero trzydzieści parę lat później, gdy z tą samą grupą płynąłem Czarną Hańczą, dowiedziałem się, jakich to zabiegów musieli oni używać, by stary rzęch jeździł. W furgonetce często coś nawalało i zaradni chłopcy remontowali grata praktycznie własnymi siłami lub w ostateczności korzystali z

pomocy zaprzyjaźnionych mechaników. Niektórzy z nich uczyli się w technikum samochodowym, dlatego było to możliwe.

Na jednym z biwaków – na Hańczy, poniżej Frącek – mieliśmy ognisko. Staliśmy odpowiednio rozluźnieni i w pewnym momencie zaczęły się opowieści o starych przygodach i o Nysce, która ułatwiała im wyprawy turystyczne. Panowie po pięćdziesiątce przypominali sobie metody przywracania pojazdu do stanu używalności.

– Pamiętasz Bogdan, jak nam ukradli koło od samochodu?

– Pewnie, że pamiętam, mieliśmy za parę dni jechać na sptyw. Pan Marcin, gdy się dowiedział, wściekł się.

– A przypominasz sobie, jak żeśmy je odzyskali?

– Zdjęliśmy je z jakiegoś samochodu na Saskiej Kępie, Ignac go tam wypatrzył.

– „Wiewióra” stała wtedy na czatach od głównej drogi – dodał Tomek.

– A ja stałem z drugiej strony ulicy – przypomniała sobie Kasia, żona Tomka.

„Wiewióra” to było pseudo mojej córki Iwony. Otrzymała je z powodu kasztanowatego koloru swoich przepięknych włosów.

– To wyście wtedy kradli koło? – zdziwiła się Wiewióra. – A ja myślałem, że je kupiliście.

Chóralny wybuch śmiechu był właściwą odpowiedzią. Ciekaw jestem, na ile pytanie było naiwne. Podobno dziewczyna stała na czatach tylko dlatego, że umiała głośno gwizdać.

Wróćmy jednak do wyprawy na Jeziorak. Gdy wgramoliłem się, kuśtykając, do kabiny Nyski, nie znałem jeszcze problemów z samochodem. Pojechaliśmy wpierw do Ławy. Szczęściem, wóz jakoś nie nawalił po drodze. Na dworcu kolejowym w Ławie doczekaliśmy się pociągu relacji Warszawa – Gdańsk, z którego wysypało się trzynaście osób z plecakami.

Niedaleko, nad brzegiem Małego Jezioraku, było dogodnie dojście do wody. Po dwóch godzinach, przeznaczonych na rozkładanie kajaków, pakowanie i rozsadzania załóg, udało nam się wystartować. Z powodu późnej pory daleko nie dopłynęliśmy i po kilku zaledwie kilometrach dobiliśmy do płatnego biwaku, na którym spotkaliśmy głównie zmotoryzowanych turystów. Był taki tłok, że mieliśmy wrażenie, jakby przyjechali tu wszyscy, którzy zapragnęli kontaktu z naturą. Do

późnych godzin nocnych hałas nie ucichł ani trochę. Z samego rana, niewyspani, zapakowaliśmy się pospiesznie w kajaki, z mocnym postanowieniem znalezienia jakiejś odludnej wysepki. Mieliśmy przewagę nad samochodziarzami, mieliśmy kajaki. Wspaniałe urządzenia zapewniające poczucie wolności. Wpłynęliśmy na Jeziorak, kierunek Siemiany. Przez pierwsze kilometry jezioro jest niezbyt szerokie. O dziwo, mimo że płynęliśmy na północ, mieliśmy wiatr w plecy, co się zdarza w Polsce dosyć rzadko.

Płynąc na luzie z wiatrem w plecy rozmyślałem nad moim zadaniem. Nie znałem właściwie tych młodych ludzi ani oni mnie i trzeba było umiejętnie zdobyć ich zaufanie.

– Tylko nic na siłę, bo jak będę się zbytnio wymądrzać, to mogę się ośmieszyć – myślałem, obserwować uważnie grupę.

Okazja nadarzyła się sama. Jeden z uczestników, Jacek, zwany Bazylem, źle spakował kajak i siedział zbyt wysoko na złożonym w kostkę namiocie.

– Jacku, siedzisz za wysoko, dobij do brzegu i przemebluj kajak, bo się przewrócisz.

– Szefie, nic mi się nie stanie – odrzekł beztrosko chłopak.

Za chwilę leżał. Dobrze, że płynęliśmy blisko brzegu. Warto podkreślić, że „Bazyl” był nowicjuszem, a na spływ namówiły go moje dzieci. Był synem brata mojej żony.

Mój autorytet w oczach uczestników wyprawy znacznie wzrósł. Po wywrotce Bazylego zarządziłem sprawdzian umiejętności pływackich. Nie było źle, wszyscy byli w miarę opływani. Pokazałem im, jak się holuje tonącego. Chętni próbowali w tym swoich sił, z mniejszym lub większym skutkiem. Korzystając z okazji, że Jacek kończył przepakowywać kajak, wszyscy musieli zaliczyć praktyczny egzamin z zasad udzielania pierwszej pomocy. Dla nich była to nowość, co skomentowała z uznaniem jedna z dziewczyn.

– Pan Marcin nas tego nas nie uczył.

Jak się zorientowałem, pan Marcin często był wymieniany w ich opowieściach. I co dziwne, mówiono o nim z przekąsem, a nawet złośliwie. Był to starszy człowiek o silnych zapędach dyktatorskich, fanatyk turystyki, raczej nie rozumiejący potrzeb odpoczynkowej młodzieży. Dziewczyny opowiadały ze śmiechem, jak zawsze rano pan Marcin robił im pobudkę, spuszczać powietrze z materaców, czym przynaglał

do dalszej wędrówki. Facet miał wyraźnie duszę kaprała. Chyba mi też by się nie spodobał.

Prowadziłem spływ po swojemu. Co wieczór robiliśmy ognisko, przy którym siedzieliśmy dostatecznie długo, by nie wstawać skoro świt. Po przebudzeniu się wszyscy musieli obowiązkowo iść do kąpieli. Początkowo napotykałem na opór niektórych leni, ale większość robiła to z ochotą.

Dużą pomocą, zwłaszcza na początku, była dla mnie córka i jej przyjaciółka Beata. Obie uwielbiały pływanie. Zostało im to do dzisiaj. Mogę to stwierdzić z czystym sumieniem, bo jak wspomniałem, pływam z tym towarzystwem nadal. W 2013 roku, z okazji pięćdziesiątych urodzin Wiewióry byliśmy na spływie Drwęcą.

Podczas spływu z młodzieżą postanowiłem sprawdzić, jakimi możliwościami fizycznymi dysponują moi podopieczni i dlatego zarządziłem wyścig kajakowy na odcinku prawie dwóch kilometrów. Część załóg ochoczo podjęła wezwanie, pewnie oni też chcieli sprawdzić, jaką siłą dysponuje ich szef. Płynąłem z „Młodym”, czyli z moim czternastoletnim synem, Wojtkiem. Chłopak nie pomagał mi zbyt, ale i tak nie ustępowałem najsilniejszej męskiej osadzie. Koło półwyspu przed Szalkowem poczekaliśmy na resztę załóg i w ten sposób szybko przekonałem się o możliwościach uczestników. Wiatr nadal wiał w plecy. Zrobiliśmy tratwę i zarządziłem posiłek na wodzie, co spotkało się z ogólnym aplauzem. Wprawdzie nie był on zbyt wykwinny – konserwy rybne i chleb, ale – jak mówią – głód jest najlepszym kucharzem. Uczta byłaby zapewne kompletna, gdybym płynąc w swoim gronie, popijał zamiast tej lury, zwanej herbatą, pełnowartościowe piwko. Pewnie nie jedno.

Dopłynęliśmy na biwak do wysepki Łąkowa, leżącej naprzeciwko Siemian. Jeziorak w tym miejscu jest bardzo rozległy, ma urozmaiconą linię brzegową i kilka wysepek. Można się tu śmiało bawić się w piratów. Ktoś sobie przypomniał, że nad Jeziorakiem toczy się akcja jednej z książek Zbigniewa Nienackiego *Pan Samochodzik kontra...* ktoś tam. Mieszkał tu także znany pisarz Igor Neverly, który napisał między innymi jedną z najpiękniejszych opowieści o włóczędźce kajakowej *Za Opiwardą, za siódmą rzeką*.

Zarządziłem rozbicie biwaku i rozpalenie ogniska. Zostawiłem Młodego z poleceniem rozbicia naszego namiotu, po czym ruszyłem z najsilniejszą obsadą po zakupy do Siemian. Sklep spożywczy był zamknięty. Sobota. To były czasy, gdy dostanie chleba stanowiło problem. Jeśli ktoś dysponował samochodem, jeździł do ławy lub po wsiach, szukając piekarni, ale my w czasie spływu nie mieliśmy takich



możliwości. Było lato, tysiące ludzi udawało się na urlopy na Mazury, a w sklepach nie było chleba. Cóż to za organizacja? I to w rolniczym kraju! Nawet szkoda wspominać o braku większości produktów spożywczych w sklepach. Wędliny np. były szczytem luksusu i były na kartki. Jak napisał kiedyś Stefan Kisielewski, ustrój socjalistyczny bohatersko walczy z problemami, które sam sobie stwarza.

Niepokojąco szybko zbliżyliśmy się do poziomu przodującego kraju socjalistycznego, jakim był wtedy ZSSR. Chociaż nawet w Mińsku i w Moskwie nie brakowało chleba (mogłem to osobiście sprawdzić podczas półrocznego stażu naukowego w 1979 roku). Jeszcze nie wiedziałem wtedy, że komunistyczna Rosja zaczęła właśnie wprowadzać w Afganistanie swój dobrobyt. Wysłano do tego kraju bohaterską pomoc dla głodującej ludności, czyli ponad sto tysięcy żołnierzy uzbrojonych w czołgi, samoloty i helikoptery o straszliwej sile rażenia. Armaty zamiast chleba. A Marks przecież powiedział: „Człowiek najwyższą wartością”.

Można by powiedzieć, rozumując logicznie – jeżeli brakuje chleba, to panuje komunizm. Prosty stąd wniosek, że albo Marks się mylił, albo to nie był komunizm. Ale właściwszy byłby chyba wniosek, że komunizm to nie jest system dla ludzi.

Z tamtych czasów warto wspomnieć gest naszego tyczkarza, zwany „gestem Kozakiewicza”, który polski sportowiec pokazał podczas olimpiady w Moskwie, po nierównym pojedynku z rosyjskimi sędziami i publicznością. Przedstawiciel Polski pokazał tym gestem co myślimy o tym, siłą nam narzuconym, systemie

Chleb kupiliśmy w restauracji i zadowoleni wracaliśmy do bazy. Ale co to? Kontrkuresem płyną dwa nasze kajaki, a w jednym siedzi jakaś sierota z bandażem na głowie. To Janek. Okazało się, że rąbiąc drzewo na ognisko dostał pieńkiem w głowę.

– Jak się czujesz?

– Nie najgorzej, ale trochę mi się kręci w głowie.

– Cholera, pewnie wstrząśnienie mózgu – myślę z niepokojem.

Dobijamy do najbliższej wyspy. Biorę go do kajaka, a reszcie każę płynąć na biwak. Tam czekają przecież na chleb. Dopływam do stałego lądu. Kajak zostawiam u starego znajomego jeszcze z ubiegłych spływów. Facet jest już podcięty i widząc mnie z bandażem na nodze, a Janka z opatrunkiem na głowie pyta współczująco:

– Kto was tak pobił?

Nie wdaję się w dyskusję, bo szkoda czasu.

– Później ci wytłumaczę. Gdzie jest najbliższy telefon?

– A, pewnie w restauracji.

Z restauracji dzwonię na pogotowie. Czekając, aż przyjedzie z ławy, zamawiam danie dnia (pewnie jedyne, jakie jest w jadłospisie), czyli kielbasę z kapustą. I piwo! Nie wiedziałem, że jestem aż tak głodny. Janek nie chce jeść, co mi odbiera humor. Wkrótce przyjeżdża pogotowie. Umawiam się z chłopakiem, że czekamy na niego do oporu na wyspie.

Stwierdziłem wtedy, że mimo uderzenia w głowę jest w pełni świadomy i zasługuje na zaufanie. Ma 19 lat, nie ma więc potrzeby prowadzić go za rączkę.

Było już ciemno, gdy dopłynąłem do wyspy. Drogowskazem było dla mnie płonące ognisko. Wszyscy byli już najedzeni, ale zmartwieni. Opowiedziałem im parę historii z poprzednich spływów dla poprawy nastroju. Zaznaczyłem, że właśnie w tym miejscu jezioro jest bardzo niebezpieczne, szczególnie w czasie burzy. Mój wywód poparłem historią sprzed roku, wzbudziła duże zainteresowanie.

Spływ prowadził wtedy Henio, pseudo „Prezes”, o którym pisałem w książce *Czukcza w cieniu oliwki*.... Przytaczam fragment opisu spływu na Jezioraku.

\*\*\*

Przyjechaliśmy pociągiem do ławy i kajaki wypożyczyliśmy w miejscowej stacji PTTK. Było to w maju, początek sezonu, drewniane kajaki były więc rozeschnięte i zupełnie nie przygotowane do pływania. Dopóki płynęliśmy wąskimi odnogami jeziora – nie było sprawy. Dobijało się do najbliższego brzegu i wylewało wodę z kajaka. Wy płynamy na otwarty akwen i raptem – zrywa się burza. Ale jaka! Potworna ulewa z bardzo silnym wiatrem. Jak zwykle – w oczy. Narzucam Ewie, mojej załodze, folię na głowę i z trudem zdążam ku najbliższemu brzegowi, który okazał się wyspą. Tam też udało się dobić większości pozostałych, z „Prezesem” włącznie. Trwa wściekła nawałnica, a my dygoczymy z zimna, szczęśliwi jednak, że jesteśmy na stałym lądzie. Drzewa osłaniają nas od wiatru i dają jako takie schronienie przed deszczem. Nie wszyscy bowiem mają odpowiednie zabezpieczenie przeciwdeszczowe. Gdy „Prezes” wreszcie doszedł do siebie i stwierdził, że ma grunt pod nogami, poczuł się znów wodzem: „Kochani, płyniemy dalej”.

A tu ludzie w trwodze. Była wśród nas jedna pani, podająca się za doświadczoną wodniaczkę, która chyba nigdy w życiu nie siedziała w kajaku. Stara żeglarka, płynąca ze swoim kilkunastoletnim synem, również pierwszy raz w życiu trzymającym wiosło w ręku. Przypadek czy też brak doświadczenia w doborze kajaka

sprawił, że ich kajak przeciekał najbardziej. Często pomagaliśmy słabej kobiecie wylewać hektolitry wody z kajaka, ale poprzednio było do brzegu kilkadziesiąt metrów. Teraz – przed nami otwarta zatoka. Do celu podróży, wyspy Bukowiec – około czterech kilometrów. Pod falę i pod wiatr – a więc dla silnej osady potrzeba co najmniej godziny, żeby dobić do celu. Zatem ta kobieta ma prawo utopić się kilka razy, bo po drodze nie ma żadnych przystanków. Komandor zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Na jego stanowcze pokrzykiwania, ludzie zmierzają niemrawo ku kajakom. Jak owce na rzeź! Ja chyba śnię? Facet chce potopić ludzi! Złapałem więc za wiosło i zagradzam drogę do kajaków:

– Ktokolwiek wsiądzie do kajaka – zabiję! Ciebie również! – tu zwróciłem się do pierwszego utopisty.

O dziwo – zrozumiał, inni przyjęli to z ulgą i wdzięcznością.

Zarządziłem rozpalenie ogniska i przygotowanie posiłku. W tym czasie – uszczelnialiśmy kajaki najprostszą metodą, czyli przez zatopienie. Napęczniały w wodzie, znalazło się też parę gwoździ w przypadkach drastycznych. Po jakimś czasie burza przeszła, wiatr nieco ucichł, pozostała tylko duża fala. Poleciałem utworzyć szyk torowy. Z przodu jedna, dwie silne załogi, słabsi w środku, a z tyłu też mocna, by w razie potrzeby mogła płynąć w bok fali i zagarnąć odstających do środka. Jak owczarek – owieczki do stada. Przydałby się jeszcze dobry łącznik, który w razie potrzeby śmignie do przodu, zatrzyma się, niby to na papierosa i – stanąwszy bokiem do fali, popatrzy z uśmiechem na potrzebujących otuchy, rzuci przy tym żartobliwą uwagę. Przywraca to tym strwożonym, przeważnie początkującym, wiarę we własne siły, uspokojenie psychiczne: „Popatrz, on stoi bokiem do fali i nic! Nie wywraca się, a nawet pali papierosa!”.

Pod wieczór dobiliśmy do upragnionego biwaku. Jednak – nie wszyscy, jak się za chwilę okazało...

\*\*\*

Opowiadanie wzbudziło duże zainteresowanie i ożywioną dyskusję na temat bezpieczeństwa na wodzie. Raptem usłyszeliśmy warkot motorówki i z mroku nocy wyłonił się Janek. Zuch chłopak, udało mu się załatwić przewiezienie na wyspę. Mimo moich obaw nie miał wstrząśnienia mózgu, skończyło się na paru szwach. Zdarzenie stało się błyskawicznie tematem piosenki o małych murzynkach. Było ich piętnastu (o jednego mniej niż nas!) i wszyscy po kolei tragicznie ginęli. Natychmiast w miejsce starego tekstu powstał nowy. Oto fragment naszej radosnej twórczości:

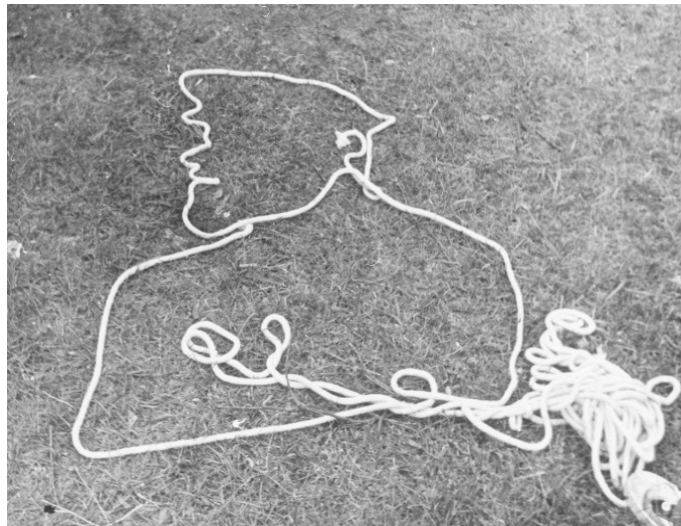
*Czternastu małych Murzynków znalazło się na biwaku,  
Jeden był pechowy i zawisł biedak na haku.*

*Trzynastu małych Murzynków rąbało drzewo dębowe,  
Jeden uderzył siekierą i dostał wiórem w głowę.*

Spodobało się i Młody, który miał największą inwencję w układaniu słów, natychmiast dośpiewał nowy kuplet:

*Dwunastu małych Murzynków śpiewało przy ognisku,  
Jeden okropnie fałszował, więc dostał biedak po pysku.*

Była to aluzja do Ignaca, który był synem pana Marcina. Nie dość, że fałszował, to jeszcze był malkontentem. Pewnie wołał surowe rządy ojca.



Lenin wiecznie żywy wg „Młodego”

Młody wykazał się także zdolnościami plastycznymi. Nie miał przy sobie ani papieru, ani żadnego pisaka, a jednak tworzył. Oto przykład jego radosnej twórczości.

Rozmawiałem z wieloma uczestnikami splywu. Byłem zaskoczony ich zaangażowaniem politycznym i wrogim nastawieniem do... Rosjan. Opowiadali ze śmiechem o redaktorze z radia, która usiłowała w jednej ze szkół przeprowadzić wywiad z młodzieżą na temat przypadającej właśnie rocznicy wybuchu II wojny światowej i agresji Niemiec na Polskę. Wszyscy indagowani przez panią redaktor zbywali jej usiłowania sprytnym przeskoczeniem na temat napaści Rosjan od Wschodu. Jeden z chłopców, młodszy brat Janka, zapytany o przeżycia ojca, uczestnika kampanii z Niemcami, powiedział:

– Proszę pani, tata to nic bohaterskiego we wrześniu '39 nie zrobił, ale mój dziadek w 1920 roku to walczył z Rosjanami i dostał medal od Piłsudskiego z bohaterstwo...

Nie spodziewałem się, że młodzież zdaje sobie tak doskonale sprawę z sytuacji politycznej. Gdy pytałem, co zamierzają robić w przyszłości, to jeden odpowiedział:

– Szefie, ja chciałbym zostać chemikiem.

– No to bardzo ładnie, dobry zawód.

– Tak, ale ja chciałbym dlatego nim być, by wynaleźć środek chemiczny, którym można by wytruć Rosjan.

Taka była wtedy młodzież. Wielu z nich działało później w „Pomarańczowej Alternatywie”. Młody też był jednym z czołowych działaczy tego ruchu, a jego artystyczne zdolności przydały się między innymi do malowania satyrycznych plakatów (na których często widniał Lenin wystawiający np. głowę z puszką Coca Cola). Jego plakaty – nawołujące do działań ośmieszających komunistyczną władzę – wisiały w wielu miejscach w Warszawie.

Ruchy młodzieżowe przyczyniły się znacznie do obalenia komuny. Spektakularnym owocem ich działalności okazało się zburzenie pomnika Dzierżyńskiego. Od tego się chyba zaczęło.

Następnego dnia naszego spływu, rankiem, przyszła do nas jakaś para, Robert i Ela. Rozbili namiot po drugiej stronie wyspy. Zaproponowali nam węgorza i szczupaka. Ryby otrzymali od rybaków. Nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Gdy zobaczyli młodzież, sprezentowali je. Najprościej byłoby te dwie ryby, każda ważyła około jednego kilograma, usmażyć. Zrobiliśmy to natychmiast ze szczupakiem i ryba znikła w oka mgnieniu. Węgorz wymagał jednak innego podejścia. Wpadłem na pomysł, by go uwędzić. Nigdy tego nie robiłem, ale zacząłem kombinować. Trzeba najpierw oczyścić rybę ze śluzu. Przypomniałem sobie, jak to robiła mama – nacierała węgorza solą. Potem wykombinowałem, że należy spuścić krew, bo podobno jest trująca. Podcięliśmy więc rybce gardło. Następnie trzeba chyba przeciąć rybę wzdłuż i oczyścić z wnętrzości. W akcję zaangażował się Robert, który nawet polecił swojej partnerce Eli przynieść z namiotu nożyczki. Dziewczyna, przyglądająca się dotychczas naszej akcji z dużą dozą rezerwy, a nawet niechęci – wczuła się jednak w rolę i żwawo dostarczyła nam przyrząd umożliwiający pomyślne przeprowadzenie operacji. Teraz należało zbudować wędzarnię. W tym celu wykorzystaliśmy skarpe,

wykonałem stosowny szkic urządzenia i chłopcy ruszyli do kopania. U podstawy zrobiliśmy palenisko z poziomym kanałem, z którym łączył się kanał pionowy wykonany w skarpie. Wkrótce węgorz, o długości około jednego metra, zaczął się wędzić. Zgodnie z przepisami, paliwem było drzewo olchowe. Nie było z tym kłopotu, bo tylko takie drzewa rosły na wyspie. Gdy delikatny dym z wędzarni zaczął unosić się ku górze, posłyszeliśmy warkot motorówki i na wyspę zawitała władza, którą reprezentowało dwóch milicjantów i jakiś cywil. Zarzucono nam, że biwakujemy i palimy ognisko w niedozwolonym miejscu. A co gorsze, niszczymy roślinność, jaką są te olchy.

– Przecież olchy to są chwasty drzewne – zaprotestowałem.

– Nie, to jest roślinność i wy ją niszcycie.

Formalnie to mieli rację, ale pojęcie „chwasty drzewne”, jeżeli chodzi o olchy, zaczerpnałem z określeń mojego brata, Witii, który – bądź co bądź – był fachowcem w tych sprawach. Jednak władzy to nie przekonało i dostaliśmy mandat kredytowy w wysokości tysiąca złotych. Ponadto nakazano nam natychmiastowe opuszczenie biwaku.

– To niemożliwe – zaprotestowałem stanowczo.

– A to dlaczego? – zapytał cywil.

– Bo część naszych ludzi wypłynęła i wróci dopiero wieczorem – kłamałem jak z nut.

– Dobrze, to dajemy wam czas do jutra, do godziny dziesiątej.

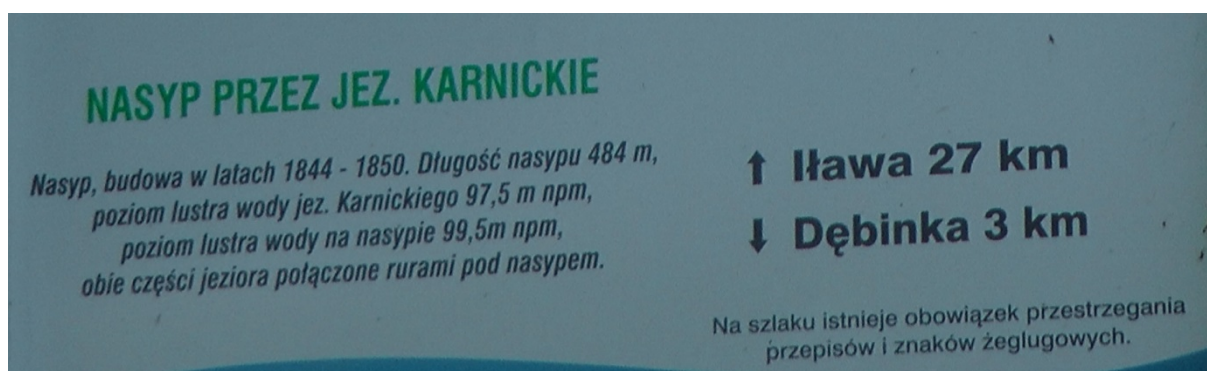
Wsiedli w motorówkę i odpłynęli. Zwołałem naradę. Po burzliwej, ale owocnej dyskusji ustaliliśmy, że węgorza należy po uwędzeniu sprzedać za około pięćset złotych, kupić pół litra wódki, a za nią dostać rano od rybaków więcej węgorzy, uwędzić je i sprzedać turystom. W ten sposób chcieliśmy zarobić, żeby spłacić mandat.

Po paru godzinach węgorz się uwędził. Miał śliczny złotawy wygląd, aż ślinka płynęła na myśl o konsumpcji. Ale plan jest planem i jedna z załóg popłynęła z węgorzem na olbrzymi samochodowy biwak pod Siemianami. Mimo że dzieliło nas od niego około trzech kilometrów, aż tutaj dobiegały hałasy i dźwięki muzyki płynącej z głośników. Załoga wróciła po paru godzinach. Ich miny nie wskazywały na sukces. Nikt z turystów nie kupił węgorza. Zdołali natomiast zakupić wódkę i obejrzeni przy okazji serial „Pogoda dla bogaczy”, emitowany przez samochodziarzy z licznych przenośnych telewizorów. Wszystkie te nowiny, a zwłaszcza niemożność obejrzenia

serialu, bardzo zasmuciły zwłaszcza wielbicieli bogactwa. Nie zrażaliśmy się jednak niepowodzeniem. Postanowiliśmy o tym zapomnieć przy dobrej zabawie. W międzyczasie przyплыnęła część naszych załóg, pływających po jeziorze oraz Ela z Robertem. Gdy dowiedzieli się o swoim nielegalnym biwakowaniu, błyskawicznie przenieśli swój namiot do nas. Wyszło na to, że gdyby nie ofiarowali nam tych ryb, zapłaciliby mandat za nielegalne biwakowanie. Jak więc widać, okazanie bliźniemu dobrego serca często bywa wynagradzane przez Opatrzność. Przekonałem się o tym wiele razy w moim życiu.

Ognisko było weselsze, gdyż komisyjnie skonsumowaliśmy naszego węgorza podzielonego na szesnaście porcji i bawiliśmy się do późnej nocy.

Nasi nowi znajomi byli dobrym nabytkiem. Robert był z Politechniki, z sąsiedniego wydziału mechanicznego. Byli około trzydziestki i stanowili świetny „pas transmisyjny” między mną a moimi podopiecznymi, młodszymi ode mnie o ponad dwadzieścia lat. Doszło do tego, że „Wiewióra” z Beatą zatańczyły przy ognisku sambę przy akompaniamencie gitary. Stworzyliśmy też nowy odcinek powieści *Pan Samochodzik kontra... milicjanci*.



Tablica informacyjna o nasypie przez jezioro Karnickie

Następnego dnia wypłynęliśmy dalej, Kanałem Iławskim do Miłomłyna, gdzie szlak wodny z Jezioraka doprowadził nas do słynnej trasy wodnej Elbląg – Ostróda z kilkoma pochylniami dla statków. Wspaniałe dzieło sztuki inżynierskiej XIX wieku.

Czar Kanału Iławskiego tak naprawdę doceniłem dopiero w 2011 roku podczas powtórnego spływu z „dziećmi”. Dzieci miały bowiem już wtedy własne potomstwo. Spływ był wybitnie kameralny i ze zdumieniem odkryłem wówczas zalety pływania w małej grupie. Ponadto, z niemniejszym zdumieniem stwierdziłem, że płynie nasypem nad jeziorami. Ilustruje to napis na tablicy informacyjnej, której kiedyś nie było. Fragment tablicy zamieściłem na rysunku powyżej.

W trakcie spływu podziwialiśmy piękno Kanału Ławskiego. Po obu stronach brzegu gęsto rosły drzewa zabarwiające wszystko na zielono. Nazwałem ten odcinek kanału „zielonym rajem”.



Zielony raj na Kanale Ławskim (zdjęcie współczesne)

Po paru dniach popłynęliśmy kanałem Elbląskim na południe w kierunku Ostródy. Po drodze przeżyliśmy wydarzenie zasługujące na opis. Dobiłszy za śluzą w Miłomłynie na biwak w miejscowości Zielona. Ładne miejsce niedaleko mostu, biwakowałem tu kilka razy podczas wcześniejszych wędrówek.

Tym razem na polu biwakowym zauważyłem już jakiś namiot, a obok kajak. Przywitałem się z właścicielami: parą kajakarzy z Warszawy. Było to rodzeństwo, Hubert z siostrą Zosią. Hubert, sympatyczny szatyn w moim wieku uśmiechał się z widoczną ulgą, ponieważ niedaleko urządzili sobie piknik miejscowi chłopcy. Zachowywali się dosyć swobodnie, a ich swoboda wzrosła, gdy zobaczyli nasze dziewczyny. Zaczęły padać niewybredne epitety w ich kierunku i zrobiło się nieprzyjemnie. Takie wrzody należy przecinać jak najszybciej, natychmiast więc



podszedłem do nich i się przywitałem. Podałem każdemu rękę, patrząc uważnie w oczy i pytając o imię, po czym wyciągnąłem zza pasa pół litra wódki.

– Napijemy się?

Pytanie było retoryczne, butelka poszła z ust do ust i zaczęła się rozmowa. Wyjaśniliśmy sobie pewne rzeczy, po czym zaprosiłem towarzystwo na wieczorne ognisko. Przyszli, komunikując przy tym, że jakaś inna paczka z okolicy szykuje na nas zamach.

– Ale niech pan się nie obawia, my ich przepędzimy – powiedział Antek, przywódca grupy.

Ognisko było bardzo dynamiczne, przodowali przybysze. W przeciwieństwie do naszych nie mieli zbyt wielu zahamowań i bardzo chętnie śpiewali. Warszawiacy wypadali przy nich blado. Być może wynikało to z faktu, że nie wspomagali się dopingiem, którego przybysze sobie nie żalowali. Prym wiodła jedna dziewczyna w ich towarzystwie. Dobrze i chętnie śpiewała, co doprowadzało do pasji nasze dziewczyny, bo nie mogły się przebić. Wiewióra straciła w ogóle humor. Chciała w przyszłości zostać aktorką, a tymczasem miała opory, by śpiewać solo.

– Śpiewaj! Aktorka powinna być bardziej przebojowa – rzuciłem w pewnym momencie.

– Ale tato, ja się krępuję. Przecież nie znam tych chłopców.

– A w teatrze będziesz znać wszystkich widzów? Zaczynaj myśleć o innym zawodzie – dodałem cierpko.

Iwona się obraziła i całkiem zamilkła. I rzeczywiście, zamiast zostać aktorką, wybrała zawód stewardesy. Świetnie dawała sobie radę na pokładzie samolotu. Spotykało ją wiele sytuacji, w których wykazywała się refleksem i dowcipem, np. zdarzenie z trzema rosyjskimi dżentelmenami lecącymi wczesnym rankiem z Leningradu.

– Panowie, może podać kawę? – zaproponowała słodkim głosem.

Panowie spojrzeli na zegarki.

– A która to godzina? O, dopiero trzecia. Na kawę jeszcze za wcześnie, prosimy trzy koniaki.

– Ależ naturalnie, przepraszam za niewłaściwie postawione pytanie – odpowiedziała błyskawicznie.

Rosjanie roześmiali się i natychmiast zapanował swojski klimat tak niezbędny przy podniebnych podróżach.

Nasze ognisko też skończyło się około trzeciej nad ranem. Dwóch chłopaków z okolicy zasnęło w jego okolicy snem sprawiedliwych. Ich donośne chrapanie zapewne skutecznie odstraszyło od najazdu innych tubylców. Ponieważ następnego dnia biwakowaliśmy na tym samym miejscu, pod wieczór zjawił się przywódca grupy – Antek z dwoma winowajcami i z butelkami sikacza, przepraszając za nadużycie tego trunku dobę wcześniej. Mieli zdrowie chłopaki. Ale i honor też.

Miłomłyn ogrywa ważne miejsce w mojej pamięci. Przy tym szlaku znajdowała się restauracja, do której dobiliśmy podczas spływu Metalowców bodajże 9 lat wcześniej. Mimo że pracownicy lokalu wiedzieli, że jest nas ponad setka, nie przygotowali się do obsługi takiej liczby osób. Byliśmy zmęczeni długą wędrówką z Jezioraka i przygotowani na ucztę połączoną z marzeniami o piwie. A tu kompletny bałagan. Zabrakło wszystkiego, także piwa. No, tego już było za wiele. Do akcji wkroczył Węgrzyn, kierownik drużyny Ursusa i rozpoczął poszukiwania kierowniczkii. Znałem jego porywczosć, towarzyszyłem mu więc w jego poczynaniach. Biedna kobieta usiłowała się bronić przed zbyt ordynarnymi atakami amatora piwa i dobrego jedzenia. Moim zadaniem było łagodzenie sytuacji. Interwencja pomogła i wkrótce zostaliśmy obsłużeni zgodnie z naszymi życzeniami.

Most w Miłomłynie przypominał mi o romantycznym spotkaniu z Wierą, uroczą lekarką z Wrocławia, którą opisuję w książce *Kajak i przygoda*. Poznałem ją na IV Ogólnopolskim Spływie Metalowców. Wtedy też ognisko przeciągnęło się do późnych godzin nocnych. Początkowo przy ogniu bawili się wszyscy. Jednak przy żarzących się węglach gasnącego ogniska została zaledwie garstka tych najwytrwalszych, kochających nastrojowe, cichutko śpiewane piosenki, przy których trzask dopalających się resztek drewna brzmiał nieomal jak karabinowy wystrzał. W takich chwilach rodzi się wszechogarniający powiew przyjaźni, ale także i poważniejsze uczucia. Rej wodziła Wiera, piękna czarnooka brunetka, znająca niemal wszystkie stare, rzadko śpiewane piosenki. Staralem się jej dzielnie sekundować, większość tych utworów była mi również znana, więc często śpiewaliśmy na głosy. Ognisko zagasło, ale żal było się rozstawać, poszliśmy na spacer właśnie na ten most z którego roztaczał się niecodzienny widok na okolicę. W świetle księżycy połyskiwała srebrzyście woda kanału. Urzeczeni klimatem i swoją bliskością obiecaliśmy sobie, że za rok popłyniemy na spływ razem. Dokumentuje ten fakt zamieszczone tu zdjęcie.



Między śluzą Zieloną a Ostródą. Wiera w kajaku na pierwszym planie (V Ogólnopolski Splyw Metalowców Mazury '72)

Nasz młodzieżowy spływ zakończył się bez specjalnych już przygód na jeziorze Szelań Wielki. Bractwo tak się ze mną zaprzyjaźniło, że za rok zorganizowałem spływ po pojezierzu augustowsko-suwalskim. Opisuję go dalej. Zaprzyjaźniłem się także z Hubertem. Pracował w polskim radio i podczas spotkania w Warszawie przyniósł mi wczesne nagrania Wysockiego. Wtedy to usłyszałem piosenkę tego wspaniałego barda i poety, różniącą się od innych, a moją ulubioną. Opowiadała ona o epizodzie, jaki zdarzył się na sowieckim posterunku „na granicy z Turcją albo Pakistanem”. Na neutralnym pasie między granicami rosły piękne kwiaty. Zapragnęła ich kobieta, która przyjechała w odwiedziny do komendanta na posterunku granicznym. Finał jej pragnień był tragiczny, bo wszak nie można mieć na własność wszystkiego co piękne.

Minęło wiele lat. I znów w 2011 roku powtórzyliśmy spływ na Jezioraku. Wprawdzie zabrakło na nim większości dawnych uczestników, ale trzon był ten sam.

Dużo się zmieniło od tego czasu. Przybyło nam lat, a dzieci mają już swoje dzieci. Co najważniejsze, zmienił się system. Wprawdzie nie do końca, tak jakby należało oczekiwać, ale się zmienił. No i sprzęt się zmienił, a także organizacja

spływu. Już nie trzeba było wozić składanych kajaków rozklekotaną Nyską. Wystarczył telefon do pana Kopiczyńskiego z Dobrego Miasta, który dowiózł nas i kajaki z tworzywa sztucznego nad brzeg Jezioraka. Do Dobrego Miasta też dojechaliśmy własnymi samochodami.



Dzieci mają swoje dzieci. Pierwszy z prawej to „Młody” z żoną Magdą i dzieciakami (Jeziorak, 2011 r.)



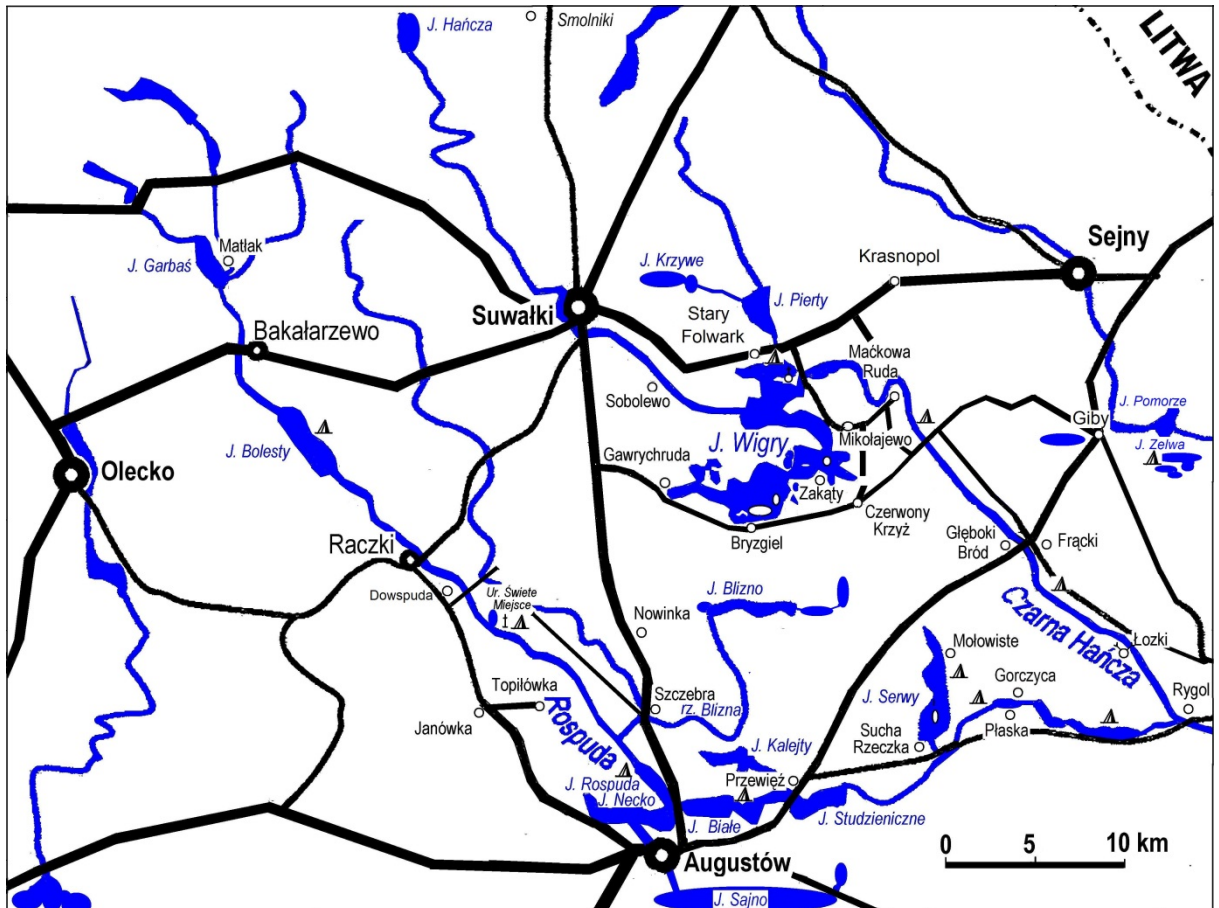
Dzieci Magdy i „Młodego”, a moje wnuki, Marysia i Kasia (Śluza w Miłomłynie, 2011 r.)



Start do spływu na Jezioraku 31 lat później. Zdj. Wojciech Sobolewski

## Rozdział II

# Obrazki ze spływu na pojezierzu augustowsko-suwańskim w 1981 roku



Chciałabym z dwóch powodów opisać wędrówkę po pojezierzu. Po pierwsze, są to moje rodzinne strony. A po drugie, zamierzam w ten sposób oddać nastroje, jakie panowały w narodzie za czasów „Solidarności”, jeszcze przed czekającym nas stanem wojennym.

### Z dziennika podróży

Noc z 15 na 16 lipca 1981 roku

W pociągu do Olecka. Wagon bez przedziałów. Obecnych czternaście, stan osiemnaście; dwóch dojedzie autostopem, a Ignas i Rafał przyjadą Nyską z kajakami. Pod warunkiem, że kierowca zrobi z dwóch uszkodzonych pomp paliwowych jedną, dobrą. Dowiedzieliśmy się o tym na dworcu. Wcześniej myśleliśmy naiwnie, że już dawno są w drodze na miejsce zbiórki w Olecku. Jest

dobrze. Jadą z nami dziewczyny z Bydgoszczy i pięknie śpiewają. Wyciągam gitarę i śpiewamy razem na głosy. Szkoda, że to nie nasze dziewczyny. Jadą do Starego Folwarku na obóz studencki, może je jeszcze spotkamy? Stary Folwark leży na trasie naszego spływu.

Tomek trzyma się blisko zgrabnej blondyny, Kasi. Wyglądają na zakochanych. Młody na każdej stacji niepokoi się o parowóz, czy ruszy dalej i sprawdza osobiście stan czystości poręczy w wagonie, co i tak mu specjalnie nie szkodzi, bo ostatni raz mył się, jak stwierdzono, 1 stycznia. Jest kłopot z mięsem – można kupić tylko na kartki. Narysował więc na kartce puszkę z szynką i pyta naiwnie: Kto kupi tę puszkę za 200 zł?

Współpraca ze śpiewaczkami rozwija się coraz lepiej. Umawiamy się na poniedziałek lub wtorek na wspólne ognisko w Starym Folwarku. Trochę mnie kompromituje Wiewióra, ponieważ widząc zacieśniające się kontakty artystyczne, coraz częściej zwraca się do mnie przez Tato. Dziewczyny pytają się, skąd mam takie pseudo. Tłumaczę, że jestem jej ojcem. Uznają to za dobry żart, czego dowodem jest pożegnanie – serdeczne, jak gdyby nigdy nic. Dalej jadą do Suwałk, a my mamy jeszcze przesiadkę. Zapewniają, że koniecznie musimy się spotkać w Starym Folwarku.

Za pięć czwarta – już po przesiadce, siedzimy w wagonie do Ełku.

– Jak Turek napoi konie w Dunaju, Polsce zajaśnieje zorza i powstanie Polska od morza do morza – usłyszałem głos starszego pana w słomkowym kapeluszu. Oczy mu pojaśniały, gdy zobaczył grupę młodzieży udającą się na spływ.

Wspaniałe audytorium, więc zaczyna opowiadać: „W styczniu 1940 roku wysiedlono całą rodzinę (ojciec był leśniczym na kresach) w głąb Rosji. Głód w kołchozie, gdzieś w Kazachstanie. Przechowuje się tam zboże w stertach, nie ma stodół. O rozkwicie hodowli świadczy, że na 900 ha urodzajnej ziemi jest tylko kilka krów, czterdzieści dwa konie i dwa traktory. Zbiory zbóż i ziemniaków dokonuje się na rozkaz z góry, od sekretarza Rejkomu (ten dostaje „prikaz” z jeszcze wyższej instancji), zbiory nie są więc przeprowadzane we właściwym okresie, przynoszą poważne straty. Mimo to matka chwali kazachską ziemię, z jednego krzaka można zebrać kilka koszyków ziemniaków. Generalnie, panuje głód. Za kradzież garstki zboża zostałem skazany, ja, młody chłopak, na piętnaście lat łagru. Szczęściem, po roku, ledwie żywy, trafiłem do armii gen. Berlinga i przeszedłem cały szlak bojowy od

Lenino do Berlina. Byłem trzykrotnie ranny, w tym raz kula trafiła mnie w nos, później dorobili mi brakującą część nosa z tkanki pośladka. W 1945 roku osiedliłem się tutaj, na tzw. ziemiach odzyskanych, gdzie przydzielono mi gospodarstwo jakiegoś bauera. Nasza ziemia i budynki zostały na dzisiejszej Białorusi, nad Niemnem. Będąc na zebraniu agitacyjnym za kolektywizacją, zapytałem raz prelegenta, czy zachwala kolchozy z praktyki, czy tylko teoretycznie. Wiecie co? Za to niewinne pytanie zostałem skazany na dwa lata więzienia, bito mnie i torturowano w UB (Urząd Bezpieczeństwa). UB jest wszechwładne, jeden z ubowców, bez żadnego wykształcenia, przedwojenny pastuch, zostaje dyrektorem PGR. Odszkodowanie za więzienie oraz rentę inwalidzką dostałem dopiero po sierpniu, po powstaniu „Solidarności”, ale nie od razu – dopiero po jedenastu rozprawach sądowych i wizycie z bratem u gen. Jaruzelskiego. Zresztą, brat mieszka w USA. Jest starszy i wyszedł z Sojuza z gen. Andersem, a teraz pomaga mi materialnie. Po tylu latach walki i pracy nie stać mnie nawet na jakieś normalne życie. Dom nie mój. Przyjdzie Niemiec i zabierze, a mego mi Ruscy nie oddadzą. Odszkodowania żadnego też przecież nie dostanę. No, ale Bóg sprawił, że powstała „Solidarność”. Może nareszcie coś się zmieni. Musi się zmienić, czuję to! Ja pewnie tego nie dożyję, ale wy młodzi doczekacie się wolnej Polski!”

Godzina ósma dziesięć – Ełk, kolejna przesiadka i jedziemy piętusem do Olecka. Jest chłodnawo. Po półtorej godzinie wysiadamy na stacji przeznaczenia. Miła niespodzianka. Nyska stoi przed dworcem, kierowca złożył pompę nie z dwóch, a z czterech niesprawnych. Jedziemy na raty do Bakalarzewa nad Rospudę. Składanie kajaków idzie sprawnie i już około dwunastej jesteśmy na wodzie. Jestem tu szefem, ustalam więc zasady płynięcia, wyznaczam pilota, kajak zamykający zwany „zamkiem”, ale na próżno. Wszyscy wyrwają się do przodu, ja z Młodym na końcu. Kajak jest obładowany ponad wszelką miarę, w pozostałe podobno się nie mieściło. Postanawiam, że na następnym etapie udowodnię, że nie mają racji.

Godzina szesnasta trzydzieści pięć. Biwak na lewym brzegu jeziora Bolesty. W tym samym miejscu biwakowałem pięć lat temu z inną grupą (ach, to były czasy!). Pamiętam akcję ratowania zaplątanego w sieci łabędzia. Ten drugi, jego para, skutecznie nam przeszkadzał. Nie zawsze, jak widać, małżeństwo wychodzi na dobre, i to nie tylko ludziom.



Grupa sprawna, namioty rozbite, Kasia z Tomkiem kończą gotować obiad. Ognisko skończyło się przed świtem. Zapowiadam, żeby nikt nie ważył się budzić mnie przed dziesiątą. Spotyka się to z powszechnym aplauzem, bo pan Marcin, ich dotychczasowy przewodnik, chodził spać z kurami i z nimi wstawał. Rano, wyspany ponad wszelką miarę, budził zmęczoną ogniskami młodzież, uciekając się do niecných sposobów, o których już pisałem.

Piątek, 17 lipca

Okolo dziewiętej trzydzieści. Pierwsze otarcie oczu. Brak słońca nie zachęca do kąpieli, wobec tego myję prawe oczko, potem lewe, następnie zęby, po namyśle postanawiam się jednak ogolić, myję twarz, szyję, a cholera jasna! Skaczę do wody, no i w końcu – wspaniała godzinna kąpiel. Pływają wszyscy chłopcy oprócz Rafała i Ignasia. Dziewczyny jakoś się ociągają, jedynie Kasia dzielnie sobie poczyną. To się na pewno zmieni. Zarządzam obowiązkową kąpiel każdego ranka, bez względu na pogodę. Tak samo było na poprzednim spływie. To wspaniale hartuje i zwiększa bezpieczeństwo na wodzie. A o to głównie chodzi. Z poprzedniego spływu jest niewielu znajomych: psiapsiółki - nierozłączki, czyli Beata z Iwoną (Wiewiórą), Młody – najmłodszy z uczestników (ale najstarszy stażem kajakarz), Bazyl – krewniak Młodego i Wiewióry, Krzysio – wspaniały, wiecznie uśmiechnięty chłopak, niebieskooki przystojniak ubiegający się o względy Wiewióry i Ignas – doskonały zaopatrzeniowiec. Pozostali – terra incognita.

Godzina jedenasta. „Koryto”! Na ten okrzyk rzucamy się do śniadania przygotowanego przez dyżurną parę. Na chlebie dżem, konserwy rybne (rano ryba?), ale wielkiego wyboru nie mamy – w kraju kryzys żywnościowy, mięso na kartki. Najważniejszym problemem dla nas jest kupno chleba. Właśnie spożywamy ostatni bochenek. Chleba nie można kupić. W wiejskich sklepach jest tylko dla miejscowych. Środek Europy, rolniczy kraj, prawie czterdzieści lat po ostatniej wojnie. To tak jakby na Saharze zabrakło piasku. Pamiętam pierwsze lata po wojnie, było wszystko, i to bez żadnych kartek! Młodzi, wychowani już w PRL nie chcą w to uwierzyć.



Psiapsiółki-nierozłączki, czyli Beata (na kładce) z Iwoną na Rospudzie

### **Uwaga dla młodych i tych, co już zapomnieli:**

Zjedzenie obiadu w zakładach gastronomicznych małych miasteczek w tych czasach też było problemem, i to przez całe lata osiemdziesiąte. Parę lat później, gdy współorganizowałem z Krzyśkiem Książkiem ogólnopolski spływ na Mazurach, musieliśmy z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem zamawiać obiady w restauracjach na trasie spływu. Zamawiać – to niewłaściwe słowo, raczej wynegocjować je – w poszczególnych gminach, u wszelkich możliwych urzędników, mając jako wsparcie odpowiednie pisma z Zarządu Głównego PTTK, Polskiego Związku Kajakowego i innych ważnych instytucji. Takie były czasy! A piwo też trzeba było wcześniej zamówić – bo zabrakłoby go miejscowym i konflikt murowany!

Planuję biwak na Świętym Miejscu. Po drodze Raczki – kilka tysięcy mieszkańców. Może uda się nam kupić chleb na sobotę i niedzielę, bo bez chleba daleko nie zapłyniemy. Pędzimy co sił w wiosłach do Raczek, jak na złość silny wiatr w twarz i to z południa – rzadki przypadek. Wysyłam natychmiast drużynę do boju!

Ale fart. Spokojnie, mamy szczęście, a więc wszystko po kolei:

1. Kupiliśmy chleb! Ekipa trafiła w dziesiątkę, czyli w dostawę. Ponoć chleba nie było przez cały tydzień, a dziś kolejka stała od 4. rano.

2. Chłopcy zamówili również obiad w restauracji! Ale zuchy! Prawdziwy obiad w prawdziwej restauracji!!! Wprost nie możemy uwierzyć naszemu szczęściu – kelnerki przyjmują zamówienie na schaboszczaka i to dla całej ekipy. Oczywiście, nie mogę oprzeć się pokusie i zamawiam piwo. Smukłonoga kelnerka z uśmiechem stawia kufel zimnego spienionego napoju. Każdy wie, jak to złociste cudo smakuje po wysiłku.

3. W kiosku spożywczym udało nam się kupić dziesięć (!) puszek kaszy gryczanej z mięsem i pieczarkami. I to bez kartek!

4. Tuż przed piętnastą, czyli parę minut przed zamknięciem poczty, udało mi się dodzwonić do nadleśnictwa. To strategiczny telefon, informuję rozmówcę o dzisiejszym noclegu.

Mój rozmówca zjawia się błyskawicznie nad rzeką, mieszka o rzut beretem – w Kuriankach, a Trabant pokonuje tę odległość w parę minut.

– Cześć Jerzy – mówi, wręczając mi butelkę piwa. U nieorientowanych budzi ten fakt zdumienie, że osoba urzędowa, ubrana w mundur leśnika, poczyną sobie tak bezceremonialnie. To Witia, mój brat. Jest udziałnym „władcą” nadleśnictwa Rospuda. A piwo, to był wówczas towar deficytowy. Ten temat szerzej rozwinę w dalszej części opowieści.

Witia, kajakarskie pseudo „Rosomak”, zjawił się wraz z żoną Marianną, pochodzącą z Wrocławia, poznaną na jednym z Ogólnopolskich Spływów Metalowców. Obiecują wizytę na biwaku, ognisko zapowiada się interesująco.



Z prawej Witia, mój brat, 33 lata później (Rospuda 2005 r.)

Płyniemy dalej. W Dowspudzie zwiedzamy resztki pałacu Paca. Aż trudno uwierzyć, patrząc na wspaniały portyk, że tylko tyle pozostało ze słynnego pałacu, którego budowę ukończono w 1827 roku. Jest takie powiedzenie: „Wart pałac Paca, a Pac pałaca”. Pałac skonfiskowano za aktywny udział Ludwika Paca w powstaniu listopadowym. Na brzegu znów spotykamy Witię. Zamierza obowiązkowo wejść do kajaka i przepłynąć z nami na biwak. Ma rację, to najładniejszy odcinek rzeki, bystry nurt, a w nim kamienie, przełom. Szumi dziewiczy las, śpiewają ptaki. Przed zachodem słońca dobijamy do biwaku.

Noc nieprzespana – ognisko, śpiewy i tańce. Tuż przed wschodem słońca wchodzę do namiotu i po chwili zrywam się przerażony. Jakieś nieludzkie wycia, podobne do kocich, tupot łap, dzika kotłowanina w krzakach. Jesteśmy w strachu, może to żbiki albo rysie?

– To na pewno jenoty – komentuje później Witia. – Przywędrowały tu z Syberii – dodaje w odpowiedzi na moje zdziwienie.



Iwona na tle bramy pałacu Paca (Rospuda 2005 r.). Zdj. Wojciech Sobolewski

Niestety, Witii nie było wtedy z nami. Wyszedł wcześniej z obozu razem z ekipą wysłaną, oczywiście, po chleb. Daleko nie zaszedł.

– Przemysłowcy na jeziorze – budzi mnie.

Chodziło mu o jezioro Jałowo, znajdujące się kilkadziesiąt metrów od biwaku.

Akcja! Niesiemy biegiem kajaki nad jezioro i... atakujemy. Kłusownicy, w liczbie dwóch, uciekają. Pozostałych trzech udaje się złapać i wylegitymować. Łupem pada ponton, dwa kosze i sznur z przynętami. W pontonie cztery nieduże węgorze, kilka leszczy i okoń. Podnieceni akcją, z rozpędu oprawiamy jeszcze ryby i nareszcie spać, słońce już wysoko.

Sen trwał zaledwie dwie godziny. Twardy tok szkolenia! Za namową Witii postanawiamy zostać jeszcze jeden dzień. Witia zabiera do samochodu aż cztery dziewczyny i jedzie po chleb. Reszta bractwa rozpełzła się po terenie. Jest ciepło i burzowo. Byczymy się.

Niedziela, 19 lipca

Okolo jedenastej. Święte Miejsce, miejsce obfitości. Będziemy je za parę dni wspominać z nostalgią – mleko, śmietana, jaja, maliny (po zachodniej, wyższej stronie rzeki rozciąga się olbrzymi maliniak), jagody. Jest jeszcze chleb i cukier. W nocy lalo, teraz jest pogodnie i ciepło. To miejsce jest miejscem kultu, stoi tu krzyż i kapliczka, przed wojną ściągali tu okoliczni ludzie w noc świętojańską i się modlili. Zapewne było to także miejsce magiczne dawnych mieszkańców Jaćwingów, o czym świadczy napis na starym dębowym krzyżu:

*„Krzyż dębowy, stary, wzniesiony prawdopodobnie przez dawnych tutejszych mieszkańców, Jaćwingów, z drużyny Skomęta, którzy w roku 1283 w liczbie około 1600 dusz przyjęli chrzest i wyemigrowali do Samlandii, w obawie przed prześladowaniami nieochrzczonych Jaćwingów. Był przez reakcję pogańską usunięty, palony i wrzucony do rzeki, a następnie postawiony na nowo około roku 1285 po przyjęciu chrztu przez Skomęta i resztę ludzi z jego drużyny”.*

Napis ten był dziełem A. Kochańskiego, księdza proboszcza z Janówki, dokonany na podstawie źródeł historycznych i opowiadań miejscowej ludności. Przyglądamy się chrześcijańskiemu obiektowi kultu, wykonanemu z surowego pnia dębu, z którego obcięto tylko gałęzie, widać na nim ślady nadpaleń. Milczymy zadumani, stary krzyż wzbudza bowiem szacunek i refleksje nad dziejami tej ziemi.



Stary krzyż wzbudza szacunek i refleksje nad dziejami tej ziemi (Stasio pierwszy z lewej)

Dziś, wbrew pierwotnym zamiarom nie płyniemy, bo chleba nie ma – młodzi mają niesamowity apetyt, bez chleba nie ma splywu, dlatego dyżurni mają jechać rano z Witią do Raczek.

Poniedziałek, 20 lipca

O godzinie dziewiętej trzydzieści rozlega się warczenie Trabanta, z którego Jacek z Kasią wynoszą świeżutki, pachnący chleb. A na biwaku cisza, zbiorowe chrapanie. Po mocno spóźnionym śniadaniu udało się odpłynąć przed południem. Żegnaj Święte Miejsce, czary i wspomnienia.

Byłem tu wielokrotnie, splywając Rospudą. Rzeka płynie pięknymi zakolami przez dziewiczą puszcę. Wkrótce przepływamy pod mostem na Młynisku. Trochę dalej puszcza, po lewej znika, a po prawej – wysoki zalesiony brzeg, dawna binduga i źródelko. Niecałe dwa kilometry stąd, na zachód, jest wieś Topiłówka, w której urodził

się mój ojciec. Piękne miejsce, dla mnie jedno z rajszych migawek z dzieciństwa. Jako sześciolatek przyjeżdżałem tu z ojcem pławic konie i kąpać się. Pijemy wodę ze źródła, jest bardzo zimna, i podziwiamy okolicę. Z jednej strony wysoki, porośnięty lasem brzeg, z drugiej widok na porośnięte trawami bagno, w dali las, za którym leży wieś Szczebra, w której, z kolei, urodziła się moja mama.

Urok tego miejsca jest nieprzeparty. Któżby z nas spodziewał się wówczas, że za kilkadziesiąt lat jakieś chore umysły zdecydują się poprowadzić tędy most (przez prawie kilometrowe bagno) trasy Via Baltica. Podobnie jak wielu myślących ludzi walczyłem z tym pomysłem. To dosłownie było bagno do wyrzucania pieniędzy. Przecież parę kilometrów dalej w górę rzeki, w pobliżu Raczek, szerokość Rospudy wynosi zaledwie kilkanaście metrów. Problem był jednak w tym, że trasa racjonalna, zgodna ze zdrowym rozsądkiem bardzo przeszkadzała jednemu z lokalnych kacyków. Miała przebiegać zbyt blisko jego „rancza” położonego między Raczkami a Suwałkami.

Trochę dalej obniża się teren także i od strony zachodniej. Z lewej mijamy wypływ rzeki Blizny. To tędy płynęliśmy na nasz pierwszy spływ tzw. kółkiem augustowskim (ze szkolnego hangaru nad Netą, Neckiem do jeziora Rospudy, rzeką Rospudą i Blizną pod prąd do jeziora Blizno, przewózka do Bryzgly, jezioro Wigry, Czarna Hańcza, Kanał Augustowski, Augustów). Miałem wtedy piętnaście lat. Spływ prowadził nasz kochany profesor od geografii i WF-u, Ryszard Jędrzejewski. To on zaszczerpił we mnie miłość do kajaków na całe życie.

Po trzech godzinach od startu dopływamy do jeziora Rospuda. Tuż przed jeziorem ślady po moście biegnącym tędy przed wojną i łączącym Szczebkę z Mazurkami. To pewnie tędy tata biegał zimą na nartach do mamy. Narty zrobił własnoręcznie z jesionu. Przydały się po wojnie – jako młody chłopak przypinałem je i biegałem do lasu nad Neckiem. Były o wiele za duże, ale innych w sklepach nie było, a potrzeba gania zimą po bezdrożach była silna. Miłość do nart miałem widocznie we krwi. Resztki mostu są prawie niewidoczne, pokazał mi je tato, bo tu właśnie przyplływaliśmy łódką, by ściągać z zasieków ponemieckich drut kolczasty, przydatny do ogrodzenia pola. To było dziesięć lat po wojnie, ale niemiecki drut nie miał śladów rdzy. Drotu było dużo. W czasie wojny rzeka Rospuda stanowiła naturalną linię frontu między wojskami niemieckimi i rosyjskimi przez prawie pół roku. Szczęście nasze, że nie natrafiliśmy na jakąś minę. Teren był wprawdzie

sprawdzany, ale od strony wody było sporo miejsc niedostępnych od lądu. Niedaleko stąd zginął na minie brat mamy...

Po jeziorze płynie duża tratwa, a na niej kilkusobowa grupa luzaków, którym się nigdzie nie spieszy. Potężnych wiosł używają praktycznie tylko do manewrów.

– Płyniemy zawsze z wiatrem – komentują z uśmiechem.



Po jeziorze płynie tratwa, a na niej kilkusobowa grupa luzaków, którym się nigdzie nie spieszy

Po lewej mijamy malowniczy półwysp Goła Zośka, o czym informuję grupę.

– Szefie, a skąd ta nazwa? – pytają ze śmiechem.

– Są różne jej wersje. Według jednej, opalała się tu często naga dziewczyna, Zosia. I rybacy od jej imienia nazwali to miejsce. Jest też inna wersja (podaję za prof. Jędrzejewskim), że Zosia była szpiegiem rosyjskim. Było to w czasach wojen napoleońskich. Na półwyspie znajdował się francuski obóz wojskowy, w którym markietanką była piękna Zośka. Jako szpieg francuski często z taborem cygańskim udawała się za Niemen na teren imperium carskiego. Tam zakochała się w młodym oficerze rosyjskim i została też szpiegiem drugiej strony. Sprawa się w końcu wydała. Pierwsi połapali się Francuzi i powiesili ją nago w tym właśnie miejscu.

Do budynku PTTK nad Neckiem blisko. Ma tam czekać na nas Jacek, płynący na pontonie. Wypłynął dużo wcześniej niż my, ale pontonem daleko nie zapłynie (na



przykład na ryby sto metrów od brzegu), trzeba koniecznie załatwić mu kajak. Przekazuję obowiązki „zamka” Krzysiovi i Wiewiórze i gonię do przodu. Wpływam na Necko i wali we mnie wiatr od zachodu, wpadam na boczną falę, więc skręcam w lewo i z wiatrem ląduję na plaży koło PTTK-u. Na brzegu stoi Jacek, dopłynął już Ignasz z Dorotą. Rafał z Jolą pojechali taksówką do Augustowa na obiad – a pewnie i po chleb – myślę. Obserwuję z niepokojem jezioro, fale są niebezpieczne, a reszty grupy nie ma. Wreszcie widzę sylwetki kajaków, ale co to? Grupa zamiast kierować się do nas, skręca w prawo na Augustów, na te fale. Chyba zabrakło im wyobraźni i chcą się potopić. Na nic się zdała mapa, lornetka i Wiewióra, która przecież powinna znać Augustów, wie, gdzie się umówiliśmy. Puściłem się za nimi i dogoniłem prawie na środku jeziora, tuż przed wpłynięciem w najgorszy żywioł szalejący od północnego zachodu, od strony Ślepska. Skręcamy i lecimy z wiatrem do PTTK-u. Na brzegu stwierdzam brak Kaśki z Tomkiem i Stasia z Joasią. Jak to, „zamek” jest, a ich nie ma? Robię rundę po Rospudzie, ani śladu, wracam, a oni stoją sobie spokojnie na brzegu. Nie wytrzymuję i wszczynam awanturę. Dostało się wszystkim, ale najwięcej Ignasiowi, który jako pilot macha wściekle wiosłami i wrywa się do przodu, nie interesując się resztą grupy. Stasiowi, który w ogóle nie trzyma się grupy każe się pakować i jechać do Warszawy, stacja Augustów-Port znajduje się w pobliżu. Stasiowi łzy stają w oczach. Koledzy bronią go, ręką, że się poprawi. W końcu macham ręką. Staś też coś mówi o poprawie, chociaż idzie mu to niezbyt składnie.

Jezioro się uspokoiło. Płyniemy do Augustowa, do mostu na Necie. W dawnych czasach była to rzeka graniczna między Litwą a Koroną. Na wysokości Borek skręcam z Jackiem w prawo, szukać ronda, przy którym mieszka facet opiekujący się klubem „Aksa”. Nie znam jego nazwiska, imienia i adresu, ale wiem, że jest skaleczony w nogę. Polecił go Witia jako jedyne, który potrafi w sezonie znaleźć wolny kajak. Udało się, trafiliśmy szczęśliwie do właściwego domu. Jego właściciel, pan Gienek, miał bandaż na nodze. Kajak, w dodatku z tworzywa sztucznego, dostaliśmy bezpłatnie (jak dla członków klubu i ich rodzin).

Wysyłam Jacka po ponton i dołączam do reszty pod mostem. W Augustowie tłok, to przecież szczyt sezonu. Wraz z Młodym i Wiewiórą mijamy słynny Albatros, wchodzimy na rynek i docieramy do domu moich rodziców, a dziadków moich dzieci, Iwony i Wojtka.

Wypijam duszkiem słoik kompotu, mama częstuje rosółem, pobieramy wędliny z domowej wędzarni (szok! – prawdziwe wędzonki bez kartek i kolejki), trochę

serdecznej pogawędki i w drogę. Dopływamy do PTTK-u. Dokonuję rozszady: Joasia siada do Jacka na kajak plastikowy, a Stasia sadzam z Bazylem. Wpływamy w Cichą Rzeczkę, pod most w Klonownicy i za chwilę jesteśmy na jeziorze Białym. Przed nami do Przewięzi około osiem kilometrów wiosłowania.

Zamiana w załogach okazała się korzystna. Płyniemy wreszcie w grupie. Nie ma już pontonu, jest dobre tempo i nastrój. To pozwala przepłynąć prawie całe jezioro Białe i około ósmej wieczorem lądujemy na kameralnym biwaku na pięknej piaszczystej plaży.

Po drodze minęliśmy zaprzyjaźnioną tratwę z Rospudy. Udało im się sforsować Cichą Rzeczkę i na Białym skorzystali z silnego dziś zachodniego wiatru. Ciekawe, jak zaopatrują się w chleb. A może żywią się wyłącznie rybami?

Co do chleba, rano grupa dyżurna, pod kierownictwem Ignasia, przywiozła z Augustowa taksówką bagażową czternaście dużych dwukilogramowych bochenków świeżutkiego pieczywa. Spory sukces!

Śniadanie jemy na sucho, szkoda czasu. Wieczorem na butli woda na herbatę grzała się półtorej godziny. Start, żegnamy piękne jezioro Białe. Teraz kierunek – jezioro Serwy. Przed nami śluza Przewięź. Stasio z Bazylem postanawiają pokonać dystans do śluzy na żaglu.

– Jak się nie wyrobicie, będziecie przenosić – ostrzegam. Zdążyli na czas, a przenoska byłaby utrudniona, ponieważ musieliby przenieść kajak przez drogę.

Pięć lat temu pokonywałem Przewięź późnym wieczorem. Śluzowy zlitował się nad człowiekiem z potwornym atakiem korzonków i puścił mimo zakazu śluzowania w nocy.

– Rozumiem, co czujesz, sam też na to cierpię – powiedział.

Śpieszyłem wtedy z jednego spływu na drugi. Zostawiłem grupę „Prezesa” na jeziorze Mikaszewo. Na biwaku pod PTTK zaczynał się Ogólnopolski Spływ Metalowców, kierowany przez zaprzyjaźnionych wrocławiaków z klubu przy WSK. Z powodu silnego bólu na brzeg na mecie wyciągnął mnie razem z kajakiem „Dzik” z Rzeszowa, facet olbrzymiej postury. Nie potrafiłem sam wyjść. Przy ognisku, z kolegami z całej Polski oraz Piłą, no i Witią (a jakże – dobry duch spływów), leczyłem intensywnie te korzonki grzany winem. Pomogło, rano wsadzono mi w kajak siedemnastoletnie dziewczę.

– Tylko uważaj, bo poręczyłem za nią jej ojcu – przestrzegł mnie Pająk, jeden z organizatorów.

Uważałem niepotrzebnie. Już we Wrocławiu, po spływie, okazało się, że dziewczyna jest już w trzecim miesiącu ciąży.

Wracam ponownie we wspomnieniach do mojej młodości. W restauracji „Myśliwskiej” zamawiamy krupnik, wołowinę z ziemniakami i białą kapustą. Tanio, bo po 43 zł. Obiad niezły, tylko kompot to woda sztucznie barwiona, według opinii Młodego.

Wczoraj Młody celnie trafił. Akurat była rozmowa o samochodach i o maluchu (Fiat 126), którego miała prowadzić Kasia.

– Jak będziesz spała z Tomkiem, to też będziesz miała malucha – stwierdził.

Ten maluch to dzisiaj kawał chłopca, co miałem okazję zauważyć podczas spływu na Krutyni 30 lat później.

Mimo lekkiej mżawki Beata z Wiewiórą optymistycznie kąpią się przed startem. Chyba pomogło, bo przed śluzą Swoboda wychodzi słońce. Stasio z Bazylem też zdążają na śluzowanie, płynąc na żaglu przez jezioro Studzieniczne. Mają charakter chłopaki, zwłaszcza że Stasio, co już zauważyłem wcześniej, nie lubi machać wiosłem.

Przed nami prosty jak lot strzały odcinek kanału. Mimo że obie strony szlaku pokrywa wspaniała roślinność Puszczy Augustowskiej, przydałaby się tutaj motorówka. Płynę tędy po raz nie wiem który, też nie lubię machać wiosłem, ożywiam się jedynie na rzece z wartkim prądem, najlepiej górskiej. Podziwiam jednak z młodością piękne stare sosny, rosnące tuż przy obu stronach kanału, poskręcane wierzby, krzaki zielonych leszczyn, jesiony i jarzębiny. Dopływamy w końcu do Suchej Rzeczki i skręcamy pod jej słaby prąd do przepustu w miejscowości Sucha Rzeczka. Tuż po skręceniu z kanału – niespodzianka! Punkt z plackami ziemniaczanymi. Placki są przysmakiem większości ludzi, ale tutaj, po paru godzinach wiosłowania – to po prostu uczta nieporównywalna z najbardziej luksusowym jedzeniem w najlepszej na świecie restauracji. I jak tanio, placki po 5 zł sztuka! Na skrzyżowaniu tras ruch jak na Marszałkowskiej. Podpływają następne kajaki. Rozmawiam z facetem, który tu pływa już dwa tygodnie. Opowiada mi o firmie „Unitra”, która kupuje od chłopów świnie, zabija je, porcuje i rozwozi po tutejszych biwakach.

– Ależ to wspaniały biznes – reaguję entuzjastycznie. – Mieć samochód dostawczy, łódzkę i człowiek w sezonie zarobi na cały rok.

– Gdyby jeszcze istniały tu prywatne piekarnie, też byłby niezły biznes.

– Tak, tylko jak załatwić przydział mąki? No i zgodę urzędników – zastanawia się wodniak. - Pytałem się miejscowego chłopca o opinię na temat realizacji hasła „Zielone światło dla rolnictwa”...

– No i jaka była reakcja? – zagaduję zaciekawiony.

– Tfu! – splunął chłop.

Śmiejemy się z najkrótszej opinii. Ale jakże jest ona wymowna. Wspaniały, bogaty kraj, pełni inicjatywy, obrotni ludzie. I wszystko to w pętach komunistycznej biurokracji. Nic dziwnego, że się w Polsce gotuje, że powstała „Solidarność”, by walczyć z tym idiotyzmem, który nas otacza.

Żegnam się z sympatycznym rozmówcą, który płynie do Augustowa. My dopływamy do przepustu, sprawna przenoska i przed nami rozciąga się jedno z najpiękniejszych jezior, z którym wiąże się tyle wspomnień. Jezioro Serwy.

Płyniemy na północ. Po prawej mijamy wyspę Sosnowo, na której biwakowaliśmy podczas spływów szkolnych. Na tej wyspie rozegrało się tyle wspaniałych i czasem tragicznych wydarzeń. Oto jedno z nich opisane w książce „Kajak i przygoda”.

xxxxxx

W roku 1957, po maturze w Liceum Ogólnokształcącym w Augustowie a tuż przed egzaminami na Politechnikę, postanowiliśmy z Józkiem i z zaprzyjaźnioną grupą wyskoczyć na parę dni na kajaki. Józek to jeden z moich najbliższych przyjaciół, mieszkaliśmy na tej samej ulicy a przez ostatnie dwa lata siedzieliśmy w jednej ławce. Teraz jesteśmy już dorośli, więc sami organizujemy spływ. Z kajakami nie ma problemów, bierzemy je ze szkoły. Z towarzystwem również, płynie mała, 10-cio osobowa grupka, większość – uczestnicy poprzednich spływów....

Dopływamy do jez. Serwy. Mała przenoska i pod wieczór dobijamy do małej zatoczki na wyspie Sosnowo, na której biwakowaliśmy podczas poprzednich, szkolnych spływów. Wyspa jest bezludna, to druga połowa czerwca, kompletna pustka na jeziorze. Stawiamy namioty (oczywiście bez podłóg, by być bliżej matki ziemi), materaców dmuchać nie musimy, bo jeszcze ich nie było, podobnie jak śpiworów. Aha, butli gazowych też nie było. Więc żeby przeżyć, trzeba zapalić ognisko. Ogień już płonie (zakazy palenia ognisk w lesie jeszcze nie istniały), w wielkim garze gotujemy wodę na herbatę i zupę. Chwila bezczynności, rozkoszujemy się czarem biwaku na łonie przyrody. Nie wiemy, że zostaliśmy skaleczeni

nieuleczalną chorobą, która zwie się... No właśnie, jak to nazwać, co każe później człowiekowi nawet na końcu świata tęsknić i wracać do Polski, na kajaki.

Następnego dnia zajmujemy się tym co najbardziej lubimy, czyli nicnierobieniem. Polega to na kąpieli, leniwym pływaniu kajakiem po jeziorze, najlepiej z błyskiem na szczupaka, który jakoś nie daje się nabrać. Robimy też łuki z jałowca i bawimy się w podchody, dzieląc się uprzednio na Indian i traperów, przy okazji marząc o upolowaniu czegoś na ruszt, nie wiadomo czego, może jakiegoś zająca, kuropatwę...

Jednak najwięcej emocji wzbudza polowanie z kuszą, Serwy mają wspaniałą widoczność wody dochodzącą do 5 metrów. Kuszy nie można było kupić w sklepie, takiego towaru bowiem nie było wtedy w handlu. Nic to, Józek - złota rączka - skonstruował własnoręcznie coś podobnego do kuszy. Do tego strzały wykonane, dla lepszej skuteczności rażenia, z miedzianego pręta, więc ciężkie. Ale by hipotetyczny, a więc duży szczupak nie zsunął się ze strzały, pomysłowy wynalazca zakończył ją grotem - ale z takim dowcipnym, samo zakleszczającym się zaczepem. Jednak mimo tej doskonałej przejrzystości wody, niczego w zasięgu wzroku i kuszy nie udało się upolować. A najbardziej skuteczny okazał się mój imiennik, nazywany dla rozróżnienia Jeżem, który od początku nastawiony był negatywnie do tego typu polowań. Siedząc spokojnie w zatoczce, tuż przy namiotach, nałapał za pomocą prostej wędki z jałowcowej gałązki sporo drobnicy, której po oprawieniu starczyło na posiłek dla wszystkich.

Józek niezbyt zadowolony z tego, że jego wspaniały przyrząd łowiecki na nic się nie przydał, znalazł sobie inny cel. Były to pęta kupionej w sklepie kiełbasy (jeszcze nie była na kartki – to czeka nas dopiero za 20 lat). Kiełbasę, które trzeba było uwędzić by nie zaczęła chodzić sama. Wymierzył, wystrzelił, strzała przebiła wędzące się zwoje i głęboko utkwiała w ziemi. Męska strona ogniska zaczęła wiwatować na część konstruktora, ale Maryla, przedstawicielka płci przeciwnej, oburzyła się:

– Józek, co się wygłupiasz? Strzelaj gdzie indziej!

I wyrwawszy strzałę z ziemi cisnęła w kierunku kusznika. Rzut był celny. I silny, Maryla była podporą damskiej lekkoatletyki w szkole. Szczęściem lub nieszczęściem strzała utkwiała w nodze Józka w okolicy pachwiny (mogła, np. w sercu, lub w jeszcze gorszym miejscu). Zamarliśmy ze strachu na widok człowieka przebitego strzałą, która tkwiła głęboko w jego ciele. Ale coś z tym klopsem trzeba zrobić. Po pierwsze -

usunąć strzałę - do czego zabrałem się, chcąc nie chcąc, bo innych ochotników na chirurgów nie było. Pociągnąłem za grot, ale ani drgnął.

– To ten cholerny zaczep – jęknąłem.

Ale muszę wyciągnąć!

– Józek, teraz trzymaj się! – i natężając mięśnie, ale bez nagłych zrywów i możliwie łagodnie, wyciągnąłem strzałę, tkwiącą głęboko w udzie. Szczęściem nie było krwotoku, ale zakażenie i tężec murowane.

– Dziewczyny, szybko spirytus i środki opatrunkowe!

I tu nastąpiła katastrofa. Okazało się, że dziewczyny, które odpowiedzialne były właśnie za apteczkę, zapomniały ją zabrać.

No, gorzej już być nie mogło! My w tych czasach byliśmy raczej nietrunkowi i nie tylko wódki, ale nawet wina nie było - dosłownie - nawet na lekarstwo. Józek siedział blady pod drzewem, obserwowałem go ukradkiem i zacząłem kombinować co dalej: czy trzeba go wieźć natychmiast na stały ląd do najbliższego szpitala, czyli do Augustowa, czy jakoś się uda poczekać do jutra, a rano się zobaczy. Pogotowie wtedy nie kursowało, zresztą skąd zadzwonić, najbliższy telefon jest pewnie przy śluzie Swoboda, w odległości kilkunastu kilometrów wodą, czyli kajakiem. Niestety, zapowiadało się to najgorsze, Józkiem zaczęły wstrząsać dreszcze. Tu potrzebny jest natychmiast lekarz z odpowiednimi lekarstwami. Zachodzi słońce, nad biwakiem zapada ponura cisza. Ponieważ ja byłem sprężyną tego spływu, poczułem się odpowiedzialny i w milczeniu zaczynam pakować kajak, zapowiada się nocny rejs do szpitala w Augustowie. Jasny gwint, przenoska na Serwach i na dwóch śluzach też nieczynnych po zmierzchu, nocne wiosłowanie w dodatku z rannym na pokładzie. Ale generalnie jesteśmy wściekli na dziewczyny, że zapomniały o tak podstawowej sprawie. Po paru złośliwych uwagach na temat wad i ułomności kobiet, które, o dziwo nie protestowały, zapadła przygnębiająca cisza.

– Dobry wieczór! – rozległo się nagle.

Zdumiony podnoszę głowę. Przed nami pojawiło się nie wiedzieć skąd dwóch młodych ludzi. Przybysze usiłują nawiązać kontakt, jednak nikt tej chwili nie ma w ochoty do rozmowy, więc zbywamy intruzów. Już samo ich pojawienie się na bezludnej, wydawałoby się, wyspie wzbudziło naszą niechęć i podejrzania. Na odchodnym pytają tylko:

– Czy może czegoś wam nie potrzeba?

Tu mnie olśniło, więc rzucam:

– Może panowie mają jakieś środki opatrunkowe?

– Mamy, mamy, czy coś się stało? Jesteśmy lekarzami!

Cud, prawdziwy cud, aż dwóch lekarzy, mówią, że z Wrocławia. Na bezludnej wyspie! Mających pełny zestaw opatrunkowy, właściwie mały podręczny szpital...

Aniołowie zszywają ranę, ładują w pacjenta wszelkie potrzebne zastrzyki i odchodzą. Odchodząc, zwracają się z propozycją zmiany biwaku. Widząc nasze zdziwione miny wyjaśniają, że biwakują na północnej stronie wyspy na wzniesieniu, skąd jest wspaniały widok na jezioro. Jutro odpływają, więc ich miejsce jest wolne.

– Obserwujemy was od wczoraj, jesteście tak sympatyczni, tak kulturalni, że po prostu chcieliśmy tą zmianą biwaku jakoś was wynagrodzić, uhonorować.

– Anioły zawsze chodzą parami – pomyślałem, odprowadzając wzrokiem znikające w ciemności sylwetki.



Józek na Serwach, 1957 rok

xxxxxxx

Musimy podążać dalej, przez prawie całe jezioro, bo na wyspie biwakowanie jest zabronione. Dobijamy po prawej przy wsi Małowiste. Na zatłoczonym obozowisku udaje się znaleźć miejsce nieco z boku, z dala od hałasu i głośnej muzyki. Trzeba zapalić ognisko, by zagotować w dużym kotle wodę na zupę i herbatę. W lesie ktoś wypatrzył dużą suchą brzozę, chłopcy z zapalem biorą się za siekiere. Obserwuję wierzchołek dorodnego drzewa – jak spadnie niespodziewanie, to może być nieszczęście. Jakbym wykrakał, brzoza się chwieje, a jej wierzchołek

leci ułamany w połowie długości. Mój ostrzegawczy krzyk spełnił swoją rolę. Młodzi uprzedzeni już wcześniej o możliwości wypadku, zdążyli odskoczyć.

– Bym chodził bez czapki i z nogami wystającymi z ramion – skomentował incydent Młody.

Para dyżurna bierze się za przygotowanie posiłku. Ja udaję się do pobliskich chałup, żeby załatwić transport kajaków na Wigry. Umawiam się na jutro na trzynastą. Przewózka ma kosztować tylko 1500 zł. W drodze powrotnej spotykam kolegę z pracy. Obaj się śmiejemy, bo spotkaliśmy się tutaj pięć lat temu. On przyjeżdża nad Serwy co rok, dziwne, że się mu nie znudziło, zwłaszcza że narzeka na wzrastający z roku na rok tłok i hałas.

Środa, 22 lipca

Właśnie przestało padać, ale wieje silny wiatr i jest chłodno. Tomkowi to nie przeszkadza. Ja chodzę ubrany w sweter i sztormiak. Dyżurni, Ignas i Dorota, usiłują od godziny zagotować wodę na herbatę za pomocą butli. Z gara unosi się para, ale do zagotowania się wody daleko, chłodzenie jest zbyt duże.

– Jak nie osłonicie od wiatru, to woda się nie zagotuje – podpowiadam dyżurnym.

Rada pomogła, wkrótce popijamy herbatą kanapki. Przy okazji dyżurni meldują, że został tylko jeden z ośmiu kilogram masła. Wypada więc jedno kilo masła na dzień. Nieźle, ale co będzie dalej?

Przyjeżdża traktor z przyczepami. Pakujemy wysuszone już po deszczu namioty, dziewięć kajaków na jedną przyczepę, na drugą się wdrapujemy i wyruszamy w drogę do Bryzgia.

– Kiedyś woziło się kajaki na furmankach – myślę melancholijnie. – Na jedną furę pakowało się po cztery kajaki, oczywiście drewniane, tzw. dykciaki.

Chłop widocznie wzbogacił się na przewózkach, bo kupił sobie traktor i usprawnił transport. Przypominam sobie, jak jechałem tędy, jako dziesięcioletni chyba chłopak, rowerem do wujka w Mikołajewie. Kiedy opowiadam o tym, nikt nie chce wierzyć. Jak można małego chłopca posyłać na taką odległość – około trzydziestu kilometrów – od domu .

– Ja bym swego dziecka nigdy nie puściła tak daleko – mruczy któraś z dziewczyn.

– To jakaś wyrodna matka – dodaje inna.



Ale takie to były czasy. Poza tym mama miała widocznie do mnie zaufanie. Sama wychowywana w twardych warunkach, nie rozczulała się zbyt nad dziećmi. Byłem najstarszy, w rezerwie miała więc sporą gromadkę. Zapewne w myśl zasady: „słabsi odpadają”. Może i miała trochę racji.

O siedemnastej trzydzieści docieramy do Bryzgly. Z wysokiego brzegu rozciąga się piękny widok na jezioro Wigry i pobliskie wyspy. Płyniemy na jedną z nich. Staś z „Bazyłem” stawiają żagiel. Czyżby chcieli żeglować pod wiatr? Idzie im nieszczerólnie, dlatego „Bazyl” macha dodatkowo wiosłem.

– „Bazyl”, to jedyny mądry człowiek na tym kajaku – komentuje ktoś złośliwie.

Dopływamy do pobliskiej wyspy Ordów. Wspaniałe miejsce na biwak, ale obawiam się, że tu nie wolno. Ponieważ głód doskwiera, zabieramy się za jedzenie, a potem w kajaki i płynąc w kierunku zachodnim, do Gawrychrudy, szukamy miejsca na spanie. Było parę różnych miejsc, ale jesteśmy wybredni. Po osiągnięciu Gawrychrudy zawracamy z powrotem i już nocą dopływamy do punktu wyjścia. Ponieważ przepłynęliśmy ponad piętnaście kilometrów i jesteśmy zmęczeni, decyduję o biwaku na... Ordowie. Nocą nikt nas tu nie złapie. Pali się wspaniałe ognisko, przy którym siedzimy prawie do rana. Piosenkom nie ma końca. Dziewczyny bardzo aktywne, a zwłaszcza duet Wiewióry z Beatą. Jedynie Młody zasnął w namiocie. Biedak ma dolegliwości żołądkowe.

Czwartek, 23 lipca

Prawie południe, wszyscy się grzebią po nocnych szaleństwach. Naszym celem jest tym razem Stary Folwark. Czeka nas kilkanaście kilometrów spływu, dlatego planuję po drodze przystanek na wyspie Kamień. Pilnie obserwuję pogodę, w czasie silnego wiatru Wigry są strasznie niebezpieczne. Ale tylko trochę wieje, niebieskie niebo. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Około szesnastej dobijamy na wyspę. Pośrodku kamień, od którego zapewne wyspa wzięła nazwę.

Prześliczna, zwirowa plaża i wspaniała woda zachęca do kąpieli. Czekaając na naszych żeglarzy, kapiemy się beztrosko, zwłaszcza że żagielek widać na horyzoncie. Wspaniały widok na jezioro, które srebrzy się w słońcu. W zaroślach odzywają się wilgi. Nie chce się stąd odpływać, ale biwak tutaj jest zabroniony.



Sjesta na wyspie Kamień

xxxxxx

W trakcie przechadzki po wyspie przypominam sobie jedno zdarzenie, jak to przed ponad dziesięciu laty, podczas spływu urlopowego wodniaków z Ursusa, zanocowaliśmy tutaj. Rano mieliśmy płynąć dalej, ale rozszalała się wichura i zostaliśmy. Następnego dnia wiatr nie ustawał, kończyło się nam jedzenie, fale jednak odstraszały nas od podróży. Zaczął się trzeci dzień, wiatr i fale bez zmian. Byliśmy głodni, a właściwie bardzo głodni, bo skończyły się wszelkie rezerwy. Po południu podjąłem decyzję o wypłynięciu do wioski Zakąty, leżącej w odległości może półtora kilometra na południe od wyspy. Ponieważ wiatr wiał z północnego zachodu, płynąc więc z falą, bez przeszkód mogłem dopłynąć do wsi, w której znajdował się sklep spożywczy. Majster, szef klubu, zgodził się na mój wypad. Żądni przygód byli także dwaj młodzi, ale silni chłopcy. Mieli mnie ubezpieczać, a mój kajak miał służyć jako barka dla żywności na trzydzieści osób. Kajaki pomknęły na długiej fali i wkrótce znaleźliśmy się na stałym lądzie, szczęśliwi, że się udało. Szybko do sklepu. Był to rok 1970, nie było jeszcze problemów z zaopatrzeniem. Kupiliśmy wszystko, co trzeba, i wypiliśmy zasłużone piwo. Słowo „piwo” nie jest zbyt adekwatne, jeśli chodzi o ilość, w każdym razie, patrząc na szalejący wiatr i fale, nie mieliśmy odwagi zmierzyć się ponownie z żywiołem.

– Słuchajcie, nie ma co się śpieszyć – powiedziałem. – Poczekajmy do wieczora, może się uspokoi, zwłaszcza, że to trwa trzeci dzień. Skoczcie no jeszcze po piwo, może uda się nam przebłągać niebios.

I tak zapadł wieczór. Piękny księżyc w pełni zawisł nad jeziorem. W pewnym momencie stwierdziliśmy, że wiatr już nie wieje. Wróciliśmy na wyspę, obładowani ponad wszelką miarę. Na brzegu stał niecierpliwy tłum, który nas wyniósł z kajakami na brzeg. Bankiet, jeżeli tak można nazwać wielkie żarcie i picie, trwał do białego rana.

xxxxxxxxx

Ponieważ żeglarze dobili do wyspy pół godziny po głównej grupie, odpłynęli wcześniej. Wskazałem im kierunek, w odległości pięciu kilometrów na północ widoczna wieża klasztoru kamedułów. Te odległości znam na pamięć, prowadząc szkółki kajakowe w Starym Folwarku, przyływałem tu często z tzw. kursantami.



W odległości 5 km na północ widoczna wieża klasztoru Kamedułów

24 lipca

Stary Folwark. Upał jak jasna cholera, toteż kapiemy się co chwilę. Zostaniemy tu do jutra. Odnalazłem dziewczyny z pociągu, czyli Jolę i Sabinę. Zaprosiłem je na ognisko.

Nastrój przy ognisku jest wypadkową wielu czynników, niekiedy trudnych do przewidzenia. Wprawdzie zaczęło się obiecująco, mieliśmy odpowiedni zapas piwa pod ręką, ale początkowo istniała niewidzialna bariera między dziewczynami z mojej ekipy a nowymi. Sprawę, jak często bywa, rozstrzygnął los, bo nagle zagrzmiało i

lunęło. Burza trwała dosyć długo i zalała płomienie, długo więc nie pośpiewaliśmy. Jola zaczęła mnie namawiać na pozostanie jeszcze jeden dzień dłużej, co się oczywiście nie spodobało mojej córce. Ponieważ nie wpadł mi do głowy żaden przekonywujący pretekst, by zostać, zostawiłem sprawę w zawieszeniu. Natomiast owocem spotkania była piosenka, którą usłyszałem i zachwyciłem się nią jeszcze w pociągu:

*O Boże, Panie mój*

*Kiedy w jasną, spokojną, cichą noc*

*Spoglądam na niebo pełne gwiazd*

*Kiedy myślę, czy życie to ma sens*

*I wołam do Ciebie, Ojczy nasz.*

*Ref. O Boże, Boże, Panie mój,*

*Nie pamiętaj, że czasem było źle*

*Wiesz dobrze, że zawsze jestem twój*

*I że tylko twoją drogą kroczyć chcę.*

*Kiedy w życiu tak pełnym rozczarowań*

*Przez grzechu kamień potknę się*

*Kiedy spokój utonie w fali knowań*

*Każdym drżeniem mej duszy szukam Cię.*

Niestety, nie zanotowałem autora słów ani już nie pamiętam melodii, zapisałem tylko chwyt na gitarę. A to za mało, gdyby dziewczyny popłynęły z nami, piosenka by się utrwaliła.

Mimo że miejscowość jest znanym centrum turystycznym i tu mamy kłopoty ze zdobyciem żywności. Myślałem, że z obiadami nie będzie kłopotu – jedna jadłodajnia znajduje się w samym ośrodku, a druga, zwana szumnie „Pod sieją”, kilkaset metrów od kempingu. Niestety, tę drugą ktoś podobno okradł, a ze znajomą kierowniczką ośrodka nie udało mi się spotkać. Jest po prostu za dużo turystów, a za mało punktów usługowych. Widocznie urzędnicy, odpowiedzialni za udzielanie koncesji na usługi kulinarne i inne, nie przewidzieli takiej sytuacji. Dobrze, że chociaż piwa nie zabrakło, co z uwagi na upał jest cenną sprawą. Dwie drużyny wysłane po chleb, w tym jedna aż do Suwałk, wracają uradowane. Obie wykonały plan, niosą wspaniały plon, 13+14=27 dużych bochenków świeżutkiego chleba

Korzystając z wolnego, zwiedzamy zespół klasztorny. Pierwszy raz byłem tu jako młody chłopak, klasztor był całkowicie zburzony. Zrobili to Rosjanie podczas

wyzwalania Polski. Ustawili baterię katusz i walili w zabytek do skutku. Teraz zespół klasztorny został pięknie odbudowany, a w domkach eremitów znajduje się ośrodek pracy twórczej Ministerstwa Kultury. Młody, myszkując w terenie, znalazł w jednej z chat przyklasztornych stuletniego człowieka o tym samym co my nazwisku. Staruszek trzyma się krzepko, pamięta jeszcze służbę w carskiej armii. Opowiada, że jego przodkowie też służyli u cara, a za udział w wojnie krymskiej przodek naszego staruszka otrzymał parę posiadłości, w tym Sobolewo.

25 lipca, rano

Na lewo, niedaleko od biwaku, znajduje się ujście rzeki Kamionki do Wigier. Ta krótka, ale ciekawa rzeka wypływa z jeziora Krzywego pod Suwałkami i wpada do jeziora Pierty, a z niego do Wigier. To właśnie z jeziora Krzywego, Kamionką, zaczęliśmy nasz drugi spływ szkolny. Znacznej części górnego odcinka rzeczki nie da się pokonać płynąc na wiosłach, jest za wąska. Na pewnym odcinku, który nazwałem „torem bobslejowym dla kajaków”, rzeczka płynie z dużym spadkiem w wąskim korycie wypełnionym kamieniami. Jednym ze sposobów na pokonanie tego odcinka jest jazda na dziobie kajaka i hamowanie obutymi nogami o kamienie. Drugi sposób polega na płynięciu w pojedynkę, gdy siedzi się z tyłu, i hamowaniu wiosłem tuż przy burcie. Jak jest mało wody, trzeba prowadzić kajak na smyczy.

W dolnym odcinku, po przepłynięciu jeziora Pierty, tuż przed Wigrami, jest natomiast odcinek o bystrym nurcie. Wybrałem się tam raz z kursantami, a teraz popłynąłem z moją młodzieżą. Forsujemy przepust i dostajemy się na poligonik kajakowy przed jeziorem Pierty. Rzeczka jest tu dosyć bystra i aby nią wpłynąć pod prąd, trzeba mieć odpowiednią kondycję. Ale to dopiero początek zabawy. W tym bystrym odcinku rzeki znajduje się kilka drewnianych pali, zapewne jakieś pozostałości po dawnym moście. Jest to idealne miejsce do ćwiczenia tzw. biegu wstecznego (nazywa się to promowaniem), czyli umiejętności przesuwania się kajakiem od brzegu do brzegu bez utraty wysokości i utrzymywania przy tym zerowej prędkości względem przeszkód na wodzie. Jest to bardzo skuteczna metoda omijania przeszkód na rzece. To w zasadzie prosty manewr jednak początkowo nikt nie potrafił go wykonać bezbłędnie. Pokazywałem go wielokrotnie omawiając najczęstsze błędy. Po paru próbach część bardziej wprawnych załapała. Reszcie przydałby się dalszy trening, ale nie ma już czasu.

Po obiedzie, który załatwiłem w końcu u kierowniczkę ośrodka (przez wzgląd na starą, długotrwałą znajomość nie śmiała mi odmówić), siedzimy na tarasie w kawiarni, z której roztacza się przepiękny widok na Wigry. Dziewczyny pozamawiały jakieś ciastka, lody i inne kobiece przysmaki. Ignas także lubi słodkie rzeczy, dlatego siedzi z dziewczynami. Trochę żal odpływać, bo przywieźli nowy transport piwa. Niestety, akurat argument piwa nie przekonywał do pozostania. Wiewióra jest zdecydowaną przeciwniczką alkoholu, nawet w tak niewinnej postaci jak piwo. W zeszłym roku na podobnym spływie posunęła się do tego, że nawet wylała butelkę szampana, którą jej sympatia, Krzyś, kupił dla uczczenia swoich imienin. Chociaż namawiałem wtedy publicznie Krzysia do buntu, niestety, za bardzo bał się ostrej jak brzytwa partnerki. Trzeba przyznać, że w zeszłym roku większość uczestników miała po siedemnaście lat. W tym roku sytuacja nieco się zmieniła. Krzyś ma już lat 18, paru jego kolegów również, jako pełnoletni mają więc pełne prawo do konsumpcji. Ponadto, nowa grupka chłopców, przybyłych w tym roku, jest nieco starsza, niektórzy mają po 20 lat i nie można im zabronić picia piwa. Zwłaszcza trójka, czyli „Docent” – Stasio oraz „magistrowie” – Jarek i Wojtek są bardzo samodzielni, a w ich oczach czai się bunt. Muszę bardzo rozsądnie z nimi poczynać, żeby ich do siebie nie zrazić, ale jednocześnie by nabrali do mnie szacunku. Podbudowałem znacznie moją pozycję po dzisiejszych manewrach na slalomie.



Grupa „docentów”, Młody (z prawej) uczy się od starszych

Przypominają mi się wspaniałe czasy sprzed kilku lat. Na tarasie tej kawiarni organizowane były zabawy. Przetańczyłem tu wiele upojnych wieczorów. Trójka „uczonych” oraz Krzyś przysiedli się do mnie i pociągamy zgodnie piwko, mimo

błyskawic rzuconych przez Wiewiórę w kierunku Krzysia. Pijemy powoli, chłodne piwo nazywa się „Kamedulskie”. Jest niezłe w smaku. Mnisi znani byli z dobrej kuchni. Piwo jest napojem wybitnie towarzyskim i bardzo sprzyja rozmowie. Opowiadam więc młodszym kolegom parę historii, jakie mi się tu przydarzyły. Podoba im się zwłaszcza jedna. Kiedyś w tym miejscu umówili się na piwo dwaj moi koledzy, Kominiarz i Kola. Pływali tu kajakami niezależnie i nieco w innych terminach. Dogadali się, że któregoś dnia będą obaj w pobliżu Starego Folwarku. Kominiarz w samo południe zjawił się w kawiarni, tam czekał na niego Kola i dwa kufle piwa. Trzeba tu dodać, że obaj mieli miny jakby się rozstali przed chwilą

– No i co, chyba na jednym piwie się nie skończyło? – zapytał jeden z „uczonych”.

– Pewnie, że nie. Za dobrze ich znam – zaśmiałem się.

Mój śmiech został odczytany jako prowokacja, Krzyś więc poderwał się w kierunku bufetu.

– Przybastuj, za chwilę wypływamy – zatrzymałem chłopaka.

A widząc zawiedzione miny, dorzuciłem:

– Panowie, teraz pić nie możemy, ale na pewno piwo przyda się na biwaku.

Na zakończenie opowiedziałem historyjkę o Młodym, który też chciał się napić piwa, ale naprawdę niezwykłego. Płynęliśmy po Zalewie Zegrzyńskim w dwa kajaki. W jednym Kola, w drugim ja z Młodym, który miał wtedy pewnie ze cztery lata i miał pseudo „Facet”. Samo południe, upał, leniwie i bez zbytniego entuzjazmu mielemy wiosłami. Gdzieś w oddali bieleją budynki Zegrza.

– Napiłbym się piwa, cholerny świat – rzucił Kola.

– Ja też bym się napił – odpowiedziałem.

Płyniemy dalej, raptem niespodziewanie odezwał się Młody:

– Ja też bym się napił piwa „Cholerny świat”.

Spojrzelismy z Kolą na siebie, o mało nas nie poskręcało ze śmiechu, ale wewnętrznego, żeby nie peszyć dziecka.

Do stolika przysiadły się nasze bydgoszczanki. Namawiają, żeby zostać na następną noc. Kto wie, gdyby nie Wiewióra... Namawiam je na spływ, jaki organizują wodniacy z Trójmiasta, na „Złote Liście Wybrzeża”. Spływ odbywa się na przełomie września i października po tzw. Kółku Raduńskim, jeziorami koło Wieżycy. Przeznaczony jest dla mniej wprawnych. Dla sprawniejszych ma miejsce przełomem

Raduni. Z Bydgoszczy blisko, a warto, bo to są najmiłsze splywy, jakie znam. Szkoda, że trwają tylko kilka dni...

Spoglądam na zegarek. Jest piętnasta. Niebo pogodne, słaby wietrzyk. Jeżeli mamy płynąć, to zaraz. Żegnamy się z sympatycznymi dziewczynami, robimy grupowe zdjęcie i ruszamy do kajaków.

Przepływamy rurą koło klasztoru. Oszczędzamy w ten sposób sporo dystansu. Z trudem znajdujemy wśród trzciny wejście do jeziora Postaw. Wpływamy na Czarną Hańczę. Mamy zamiar dopłynąć do Frącek. Rzeka wije się serpentynami wśród łąk. Kiedyś, płynąc tędy samotnie wieczorem, zagarnąłem wiosłem do kajaka małą rybkę. Nie była złota, wypuściłem ją więc bez żalu. Szkoda, że nie mogłem wypowiedzieć życzenia o czymś powrocie, bo właśnie w Starym Folwarku pożegnałem się z pewną dziewczyną. Na zawsze. Przyjechała tutaj nagle, byłem wtedy pełen szczęścia, potem nagle odjechała i wpadłem na samo dno żalu.



Żegnamy się z sympatycznymi dziewczynami z Bydgoszczy (stoją pierwsza i czwarta od prawej)

W pobliżu Maćkowej Rudy niebo zaczęło się groźnie chmurzyć. Niestety, musimy szybko dobić do brzegu i szukać biwaku, bo zrobiło się nieciekawie. Ciężkie burzowe chmury, dalekie złowrogie pomruki zbliżającej się nawałnicy. Dziewczyny



zaczynają piszczeć ze strachu. Tempo rozbijania namiotów było fantastyczne, nigdy wcześniej nie widziałem dziewczyn tak zmotywowanych do pomocy. Za ledwie postawiliśmy namioty – lunęło! Grzmiało i padało z przerwami cały wieczór. Zacząłem się zastanawiać nad spacerem, bo w tej wsi i w najbliższej okolicy mieszka paru krewnych ze strony mojej mamy. Pomyślałem jednak, że nie jestem sam. Wróciłbym zapewne późną nocą, a mlekiem na pewno by mnie nie częstowano, odpuściłem sobie więc odwiedziny krewnych. Póki co, naukowcy stawiają przed namiotem dwie butelki „Kamedulskiego”. Widać, wyciągnęli właściwe wnioski z naszej rozmowy.

26 lipca

Dzień wstaje dosyć chłodny, ale nie pada. Planujemy dziś przepłynąć do leśniczówki w Łozkach, czyli trzydzieści sześć kilometrów. Trzeba odrobić wczorajszy zbyt krótki etap. Ponieważ nikt nikogo nie pogania, ruszamy w południe. Odcinek nieciekawym, rzeka meandruje wśród łąk. Na szczęście po godzinie dopływamy do Wysokiego Mostu. Po lewej mijamy na wysokim brzegu stanicę wodną, płyniemy dalej, bo koło zabudowań nie ma ruchu, pewnie nieczynna. Zaczyna się piękny odcinek, po obu stronach rzeki las. Po lewej – wysoka piaszczysta skarpa. Po niej w czasie spływu Ursusa zjeżdżaliśmy jedyneką do wody. Zabawa była przednia, bo w niedużej slalomówce wpadało się do wody aż po piersi i trzeba było sporych umiejętności, by się nie wywrócić. Wtedy byliśmy już wytrawnymi kajakarzami, po wielu spływach, na rzekach górskich, między innymi na Dunajcu – właśnie na tych jedynekach. I pomyśleć, że gdy trzy slalomówki zakupiliśmy do klubu, to podczas prób na basenie przeciwpożarowym najlepsi utrzymywali się w kajaku za ledwie kilkanaście sekund. Co znaczy trening... Na tymże spływie pływałem na jedynce, stojąc w kajaku i podpierając się, oczywiście, wiosłem.

Opowiadam o tym młodzieży i ktoś się pyta:

– Jak to, podpierać się wiosłem? O dno? Przecież za głęboko.

Roześmiałem się;

- Podpieranie się wiosłem nie oznacza opierania się o koniec wiosła o dno, tylko na wahadłowym ruchu wiosła, tak by pióro poruszało się płasko po wodzie i stanowiło punkt oporu.

Po czym demonstruję, jak to się robi. Dla większego efektu wstaję w kajaku, przechylam się i robię podpórkę wiosłem. Chłopcy rozpoczynają intensywnie

ćwiczyć, oczywiście, na siedząco. Kiedyś, w krytycznej sytuacji, przyda im się to z pewnością.

– Pamiętajcie, co mówił profesor (od kajaków), Kola, że wiosłem w rękach dobrego kajakarza można zrobić wszystko, nawet zapłodnić.

Następnie powtarzam (po raz któryś z rzędu), żeby przy wysiadaniu z kajaka nigdy nie odkładać wiosła. Zresztą w jedyńce przy trudnych podejściach do brzegu odpowiednio ułożone wiosło jest wręcz niezbędne przy wsiadaniu i wysiadaniu. Można tę metodę stosować również w dwójce.

– Słuchajcie, najwięcej wywrotek zdarza się nie na wodzie, a przy wsiadaniu i wysiadaniu z kajaka. Wiosło służy także jako element asekuracji w nieznanym, zarośniętym terenie, jest po prostu laską, trzecią nogą. A kiedyś wiosło w ręku uratowało mi życie...

– Czyżby SzeF oganiał się nim przed złym psem? – zaśmiał się ironicznie Stasio.

– Nie. Jest to jeszcze jeden przykład zastosowania wiosła. Obyś, Stasiu, nie musiał go stosować. Posłuchajcie:

– To było na południu Polski, na którejś z rzek górskich, nie pamiętam, może to była Raba. Na rzece znajdowała się zapora, po koronie której trzeba było przenieść kajak na drugą stronę rzeki, do autokaru. Był to ostatni etap spływu. Płynąłem, jako pierwszy, na jedyńce. Wysiadłem z kajaka, jedynekę wziąłem na smycz. Szedłem boso, w drugiej ręce wiosło. Wchodząc na koronę tamy, zauważyłem, że jest pokryta zielonym śliskim mchem. Spojrzałem w dół, cała pochyła ściana zapory była pokryta takim samym mchem. Ta pochyła ściana kończyła się nagłym, może dwumetrowym uskokiem, na dnie którego w suchym korycie rzeki leżały duże kamienie, zapewne pełniące – przy puszczeniu wody górą tamy – rolę łamacza fal. Wody tam wtedy nie było, szła bocznym kanałem na turbiny elektrowni.

– O, Boże – pomyślałem. – Gdyby się ktoś poślizgnął na tej pleśni, to na dole czeka go śmierć. Muszę uprzedzić kolegów.

Po czym obróciłem się i krzyknąłem:

– Uważajcie, bo ślisko.

I w tym momencie czuję, że zjeżdżam na dół.

– Cholera, to chyba niemożliwe – pomyślałem przerażony. – Dlaczego właśnie ja?

A jednak mnie to spotkało. Na zielonym wilgotnym mchu leciałem jak po lodzie, nabierając przy tym coraz większej szybkości.

– Jeśli mam się połamać, to lepiej połamać kajak – pomyślałem.

Błyskawicznie podciągnąłem kajak do siebie, wskoczyłem do środka, leciałem w nim jeszcze szybciej i w dodatku bokiem. Na dole lądowałbym na głowie. Ale od czego wiosło? Nacisnąłem nim z tyłu tuż przy boku kajaka, co umożliwiło obrót dziobem we właściwym kierunku. Wstrzymuję oddech, jeszcze chwila i... kajak ze strasznym hukiem wali dziobem o kamienie, jednocześnie obracając mnie głową w dół, jak to przy wywrotce. Jednak jakoś zdążyłem wyskoczyć i z wiosłem w ręku wylądować na małym skrawku piachu na dwie złączone stopy.

Z kajaka nie było co zbierać. Ci, co stali na górze i obserwowali całe zdarzenie zdążyli już mnie pożegnać na zawsze. A uratowałem się tylko dlatego, że nie wypuściłem wiosła z ręki podczas prowadzenia kajaka, no i umiałem się nim posłużyć.

Mam nadzieję, że to zdarzenie, którego nawet kaskader chyba by nie powtórzył, uświadomi wszystkim, że wiosła nie można nigdy wypuszczać z ręki.

Mijamy teraz Czarny Las, w którym rejestruję nieudaną próbę kupienia jajek. Lepiej nam poszło w Głębokim Brodzie, gdzie w sklepie można było kupić prawie wszystko. Młody topi w rzece kubek, ale udaje się nam go wyciągnąć, za pomocą wiosła. Widać miejsce pechowe, bo gdzieś tutaj, na moim pierwszym spływie, po nieostrożnie podawaną na wiosle saperkę trzeba było nurkować w zimnej wodzie. Po lewej wieś Frącki, za nią, na skarpie, stacja wodna. Bardzo lubię tu biwakować, z tym miejscem związane jest mnóstwo wspomnień... Tutaj zerwałem wiązadła stawowe w stopie równo pięć lat temu, 26 lipca, w imieniny Anny, podczas spływu Metalowców, a jedenaście lat temu tutaj zaczęły się przygody przez duże „P” (opisane w „Kajak i przygoda”). Fajnie byłoby zabiwakować na obszernej polanie otoczonej lasem, ale trzeba teraz płynąć dalej.

Nie zdołaliśmy jednak odpłynąć daleko od Frącek. Kilka kilometrów za stacją, po lewej stronie, na urwistym brzegu, znaleźliśmy studencką bazę turystyczną. Kiedyś przed jedenastu laty była tu stacja wodna, w której piliśmy z Jamnikiem piwo o szóstej rano. To był jeden z elementów przygody przez duże „P”. Stancji ani śladu, spaliła się. Ale teraz urocze nimfy pływają w rzece i przyjaźnie namawiają nas do noclegu. Jak tu nie ulec? Z dali słychać piękny śpiew na głosy, rozlegający się

chyba z góry rzeki. Brzmi, jakby maszerowała drużyna wojska – kozackiego wojska, bo to piosenki ukraińskie. Echo niesie śpiew, a wysoki brzeg, zarośnięte brzegi rzeki i ściana lasu działają jak wzmacniacz.

– Ilu ludzi to robi? – zastanawiam się. – I na czym płyną?

Tymczasem zza zakrętu wypływa trzech młodych ludzi na materacach.

– No, to muszą być niezłe kozaki – pomyślałem.

To wzmocniło moją decyzję o pozostaniu. Wnosimy stromą skarpą nasze bagaże, słyszę głosy niezadowolonych z niepotrzebnego wysiłku. Tymczasem na górze polana okazuje się niezwykle malownicza, z wysokiego brzegu wspaniały widok na wijącą się w dole rzekę. No, a poza tym urok gromady młodych ludzi, gościnnych i szczerzących przyjaźnie do nas zęby. Zapowiada się niezłe ognisko.

Nie myliłem się, bo było wyjątkowo udane i trwało, z naszym skromnym udziałem, prawie do świtu. Studenci bardzo dobrze śpiewali na głosy (co już zdołałem stwierdzić wcześniej), mieli szeroki repertuar, znali też sporo nowych melodii, i to o podtekście politycznym, co mnie bardzo interesowało. Przebojem okazała się piosenka o Marszałku Sejmu PRL. Oto ona:

*Raz marszałek sejmu kalek dziarskim krokiem wszedł na salę*

*Strasznie brzęczą mu medale, lecz się nie przejmuje wcale.*

*Ref. Stuk, puk laską o podłogę, Sejm, Sejm wyraża zgodę.*

*Stuk, puk laską o blat, Sejm mówi: tak!*

*Maca laską krok po kroku, osiem dioptrii w każdym oku.*

*Okulary ma schowane, bo dziś będzie „głosowanie”.*

*Ref. Stuk, puk...*

*Na trybunę wszedł niemowa z wnioskiem o wolności słowa.*

*Dyskusja się zawiązała, kiedy zabrał głos jąkała.*

*Ref. Stuk, puk...*

*Wstaje jeden z krótszą nogą, delegują go kulawi.*

*On interpelacje nową dziś Sejmowi ma przedstawić.*

*Ref. Stuk, puk...*

*„Z dniem 3 października ma dekretem prawomocnym*

*W trotuarach i chodnikach być co druga płyta węższa”.*

*Ref. Stuk, puk...*

*Na trybunę się gramoli przedstawiciel paranoi.*

*On nam teraz prawdę powie, bo papiery ma przy sobie.*

*Ref. Stuk, puk...*

*„Żeby jedność wszędzie była, bo w jedności wielka siła.*

*Jedna ściana, jedna krowa, jedna dupa, jedna głowa”.*

Przytaczam tę piosenkę w całości, bo trafnie oddaje paranoję systemu panującego w Polsce oraz ówczesne nastroje społeczeństwa. Były one często wyrażane właśnie przy ogniskach. Innych możliwości system nie przewidział.

Na spływach często śpiewano zakazane piosenki. I ja również to robiłem z wielką ochotą. Nie dalej, jak pięć lat temu, na spływie Metalowców, właśnie na tej trasie, wykonałem kolejny kabaret pt. „Mazursus” (połączenie słów Mazury i Ursus). Przygotowywałem te happeningi co roku na spływach Metalowców z większym lub mniejszym powodzeniem, ale w 1976 roku było co przedstawiać, po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie. Wodniacy znali te kabarety i byli ciekawi, jak wyrażę to w formie artystycznej. Wtedy, w 1976 roku poprosiłem tylko o wyłączenie magnetofonów. Bowiem na którymś z poprzednich spływów jedna z pań nagrała na magnetofon moje występy i musiała się gęsto tłumaczyć na milicji. Nic dziwnego, bowiem jedna z trefnych piosenek zawierała przykładowo takie słowa: „Breżniew portierem w hotelu Forum”.

Przy ognisku z młodzieżą klimat był wyjątkowo sprzyjający. Słuchacze byli życzliwi i ciekawi, toteż zaprezentowałem bardzo szeroki repertuar piosenek studenckich, turystycznych i politycznych z dawnych lat (tę z Breżniewem jako portierem też) . Większość tych piosenek młodzi słyszeli po raz pierwszy.

27 lipca

Żegnamy się ze studentami. Niektórzy z naszych kupują na pamiątki koszulki ze specjalnym nadrukiem obozu, ja zadowolam się okolicznościowym znaczkiem. Dziś zamierzamy dopłynąć do jeziora Mikaszewo, czyli do pokonania jest dwadzieścia pięć kilometrów. Po niecałej godzinie nudnego płynięcia wśród podmokłych łąk mijamy leśniczówkę w Łozkach. Przy leśniczówce znajduje się pomost, przy którym jedenaście lat temu odbył się ważny epizod przygody przez duże „P”. To warto opowiedzieć młodym, okazja nadarza się za chwilę. Dopływamy do mostu poniżej leśniczówki, gdy dopada nas ulewny deszcz. Zatrzymujemy się więc, a ja rozpocynam opowieść (jest zamieszczona w *Kajak i przygoda*).

Właśnie przestało padać, gdy skończyłem opowiadać. Płyniemy dalej, to już dolny, najładniejszy odcinek rzeki, tuż przed Rygolem. Po obu stronach puszcza, mnóstwo starych, dziwacznie powyginanych drzew, dosyć wartki prąd, sporo zwalonych drzew, których przedtem chyba tu nie było. O dziewiętnastej piętnaście żegnamy Hańczę, która płynie na wschód do Niemna.

Niestety, nie można płynąć dalej z nurtem, niedaleko granica białoruska, rozdzielająca w nienaturalny sposób zwarty przyrodniczo, kulturowo i etnicznie obszar. Chyba z godzinę czekam na rozwidleniu szlaków na maruderów. Niedobrze, przed nami dwie śluzy, a po zmroku nie służą. Wreszcie pokazali się spóźnialscy, służymy się w Sosnowce, gnamy odcinkiem kanału do następnej śluzy w Mikaszewie i... klops. Jest zmrok, godzina dwudziesta pierwsza pięć, śluzowy ma więc prawo. Część grupy, na czele z Ignasem, przepłynęła jakiś czas temu. Sprawnie przenosimy kajaki i już jesteśmy na prostej. Tuż przed jeziorem Mikaszówek, po prawej, dobre miejsce na biwak. Płyniemy jednak dalej, bo Ignas jest gdzieś z przodu. Szybko przepływamy nieduże, podobne nieco do stawu jezioro, i już jesteśmy na Mikaszewie. Jest już ciemno, po prawej udaje się odkryć dobre miejsce na biwak. Pali się jakieś ognisko, a jego sprawcy zapraszają nas gościnnie. Rozglądam się, jakoś nie widzę Ignasia. Co, on chce na nas wymusić nocne pływanie?

– A może przestać go gonić i tu się rozbić? – myślę.

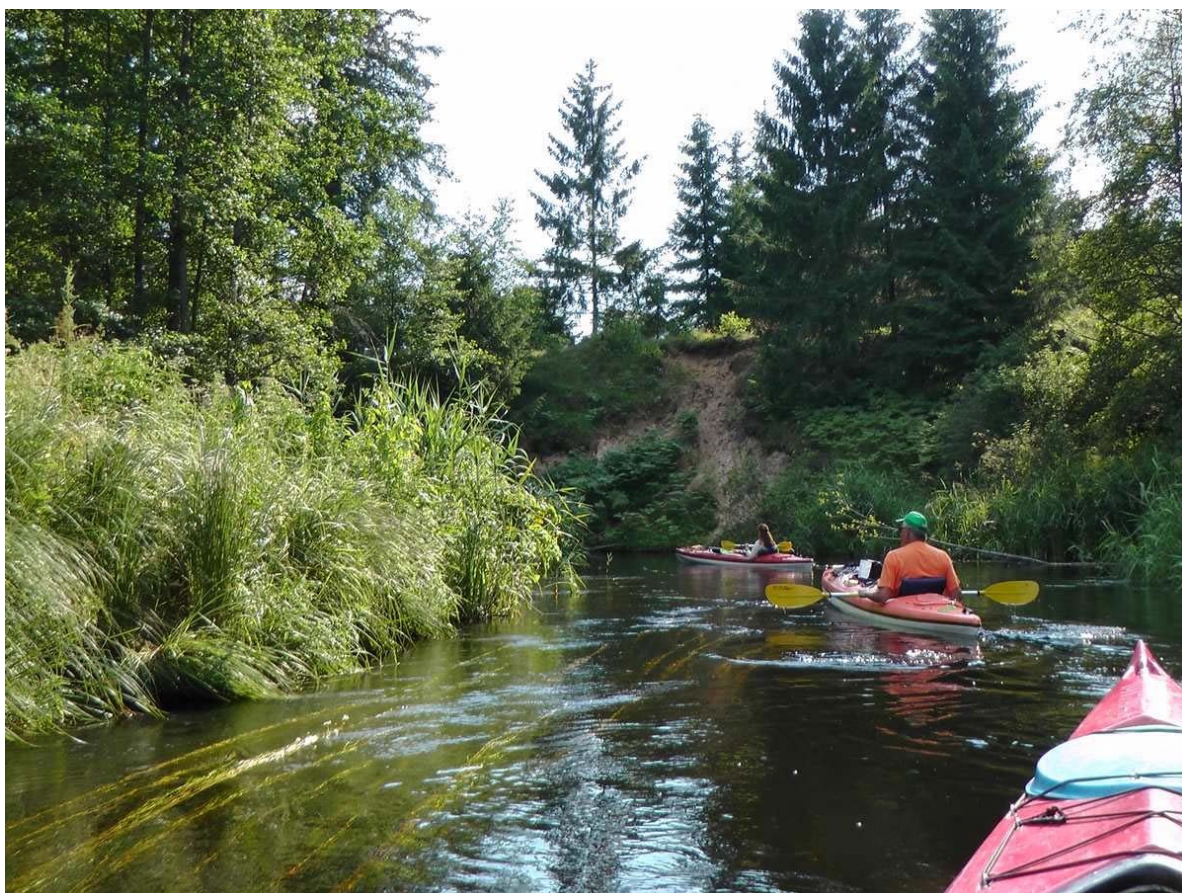
Patrzę po twarzach, widzę porozumiewawcze uśmiechy, wszyscy myślą tak samo. Należy mu się nauczka. Tak, tu się rozbijamy, ku uciesze naszych nowo poznanych towarzyszy. Myślę, jak sobie Ignas da radę. Ma wprawdzie namiot, podstawowe jedzenie, ale nie ma butli i garnka na wodę. Postali natomiast bardzo się cieszą, że go nie ma. Uważają, że jest zbyt przemądrzały i już dawno powinno się go nieco przystopować. Wszyscy mają go za egoistę, co udowodnił wczoraj wieczorem:

– Sam piekł placki, sam je zjadł i nikogo nie poczęstował – żali się jedna z dziewczyn.

Polacy nie lubią indywidualistów. I do tego zaradnych.

Rozsiadamy się przy ognisku. Krzyś piecze trzy okonie złapane dziś na błysk. Częstujemy sympatycznych gospodarzy ogniska. Następuje cudowne rozmnożenie, i wielka rybna uczta. Idę nad brzeg jeziora i przy świetle latarki łapię w krótkim czasie sporo raków. Wrzucam je na wrzącą wodę i mamy wykwintny deser. No, a rybka lubi pływać, nocne Polaków rozmowy zajęły więc dużo czasu. A było o czym

dyskutować... Kraj jest w stanie rewolucji i pełzającej kontrrewolucji. Polska jest na rozdrożu, nie wiadomo, co się będzie jeszcze dziać. Czy szybciej Ruskie wejdą, czy nasi sami załatwią ruch odnowy... i o nadziejach, jakie wzbudziła „Solidarność”. Zdania, jak zwykle są podzielone.



Dolny, najładniejszy odcinek Hańczy, tuż przed Rygołem. Zdjęcie ze spływu w 2010 roku. W pierwszym kajaku Wiewióra

28 lipca

Odplywamy późno, bo dopiero około trzynastej. Ognisko paliło się długo w nocy. Rano wiara rozpełzła się po lesie, mnóstwo tu poziomek i czarnych jagód, wszyscy mają sine ręce i buzie. Wsiadamy w kajaki i po kilkuset metrach spotykamy Ignasia i resztę czołówki. Chcę mu przypomnieć o roli pilota, ale na widok jego zbolalej miny macham ręką. Wieczorem zjadł za dużo kiełbasy na zimno, niczym nie popił i to mu zaszkodziło.

– Sam się ukarał – myślę.

Przed nami tratwy przed śluzą Perkuć, ładujemy więc kajaki na tratwy i śluzujemy się na zupełnym luzie.



Ładujemy więc kajaki na tratwy i śluzujemy się na zupełnym luzie

Wpływamy na jezioro Krzywe, skręcamy ze szlaku ostro w lewo – chcę pokazać grupie jezioro Kruglak. Rzadko ktoś tu przy pływa, ale warto. Nieduże jeziorko o niskich bagnistych brzegach, pokryte jest karłowatymi, pochylonymi w różne strony brzoźkami, krzewami i świerkami. Ponieważ nie ma wiatru, w wodzie, jak w lustrze, odbija się otaczająca je przyroda. Niesamowity widok i ta cisza... Tak samo musiało tu wyglądać tysiące lat temu. Tajemniczo i złowrogo. Młodzież szybko wraca wąską strugą, prowadzącą do Krzywego, i dalej na szlak.

Nie wszyscy byli chętni na tę krótką wycieczkę. Część kajaków czeka na nas przed śluzą Paniewo. Niedaleko śluzy napotykamy dużą restaurację „Starożyn”. Dziewczyny zamawiają w niej obiad. Przeprowadzamy się przez dwukomorową śluzę z kajakami na tratwach. Śluzowemu chyba odbiło, bo puścił wodę na cały gwizdek. Szczęście, że kajaki są na drugiej tratwie, pierwsza jest całkowicie zalana.

Na obiadokolację jemy knedle, podwójne porcje. Ociężali, wolno ładujemy się do kajaków, przepływamy nieduże jeziorka Paniewo i Orle. Po lewej mijamy wieś Płaska i udaje się nam przepłynąć przed zmrokiem śluzę Gorczyca.

Po przepłynięciu wąskiego jeziora Płaska ładujemy po prawej stronie na pięknym biwaku. To już prawie koniec spływu, do Augustowa niedaleko. Ignas chodzi z kwaśną miną, bo zdopingowałem go do jeszcze szybszego płynięcia:



– Ignaś, do Augustowa jest zaledwie dziewiętnaście kilometrów. Jutro zrobimy wyścig, jak dopłyniesz pierwszy, to dostaniesz w nagrodę duże ciasto tortowe.

Rafał przechodząc obok i słysząc te słowa, dostał apopleksji ze śmiechu. Widocznie trafiłem w jakaś czuły punkt Ignasia.



Udaje się nam przepłynąć przed zmrokiem służę Gorczyca

Jak co wieczór zbieramy się przy ognisku, miny smętne, bo to już może być ostatnie takie spotkanie. Są prawie wszyscy, za wyjątkiem dwóch Dorotek. Musiały być bardzo zmęczone, bo nie jadły kolacji. Zresztą, obiad był bardzo obfity, pewnie dbają o linię. Grubo po północy zbieramy się do spania i raptem słychać rozpaczliwe krzyki po drugiej stronie kanału:

– Szefie, szefie!

Co się dzieje? Poznajemy głosy Dorotek. Ale dlaczego znajdują się po drugiej stronie wody? Posyłamy dwa kajaki i po chwili dziewczyny są już przy ognisku. Wyglądają strasznie – przerażone, rozbiegane oczy, mokre ciuchy, poobcierane nogi i ręce. Słowem, obraz nędzy i rozpaczy. Okazało się, że po postawieniu namiotu poszły na spacer do lasu i zabłądziły. Czyli błądzą tak dobrych kilka godzin. Ale jakim cudem znalazły się po drugiej stronie wody, przecież w pobliżu nie ma żadnego mostu? Wytłumaczyły, że przeszły po tratwach. Niektóre drzewa nie były dobrze związane i dziewczyny, przechodząc, wpadały częściowo do wody, stąd ich wygląd i otarcia.

Czułem, że ogarnia mnie przerażenie. Przecież mogłyby się potopić i nikt by nie wiedział, w jaki sposób zginęły. Prokurator, by mi tego nie odpuścił, poszedłbym na pewno do więzienia. Pytam się, dlaczego przeszły na drugą stronę, ale niestety nie uzyskałem żadnej racjonalnej odpowiedzi. Ta zagadka trwa do dziś.

Środa, 29 lipca, godzina jedenasta

„Koryto!” – słyszę znajome hasło. Humory i pogoda marne. Zastanawiam się, czy dzisiaj płynąć. Po długim namyśle postanowiłem zostać. Ignasia wysyłam łodem po chleb do Augustowa, a sam, uzbrojony przezornie w kompas, idę do lasu. Może uspokoję się po wczorajszej historii z Dorotkami?

Dyżurni robią obiad na sto fajerek. Są dwa dania: pierwsze – barszcz z ziemniakami, drugie do wyboru – bigos z ziemniakami lub zraziki z kaszą gryczaną. Jutro musimy już płynąć, nie mamy wyjścia. Zapasy się skończyły, pozostał tylko chleb. Liczymy na obiad w „Myśliwskiej” w Przewięzi.

Czwartek, 30 lipca

Całą noc padało. Wieje silny wiatr, widocznie przechodzi front. Korzystając z dwugodzinnej przerwy w ulewie, zwijamy namioty i w drogę, bo zginiemy z głodu. Kończą mi się papierosy (też są na kartki), zostały zaledwie trzy sztuki. Kartek nie mam – wydają je w miejscu zamieszkania. To jest dopiero paranoja, i to tyle lat po wojnie. A właściwie, gdyby odwrócić sposób myślenia, to jest w porządku. Po tylu latach okupacji nie ma już nawet papierosów. Właściwie nie powinienem się dziwić...

Dwa lata wcześniej byłem przez pół roku na stażu naukowym w Sojuszu. Wróciłem zupełnie odmieniony. Przyjaciele nie mogli mnie poznać. Mój wrodzony

optymizm przepadł bezpowrotnie. Już wiedziałem, co nas czeka w najbliższej przyszłości.

Nie mogę oprzeć się pokusie, by nie wspomnieć o zabawnym epizodzie związanym z kartkami. Na spływie organizowanym przez Klub „Pasaty”, bodajże na Gwdzie, gdzieś około roku 1978, trzech moi znakomici koledzy (znane postaci w świecie kajakowym, nie chciałbym ujawniać ich imion) założyli „Klub Bez Bab” i gospodarowali nim wspólnie, co było sensowne, wobec znanego braku produktów w mijanych miejscowościach. Kiedyś udało im się kupić na kartki trzy kilo kiełbasy. Co zademonstrowali publicznie, podnosząc smakowite pęta do góry. Zapach tej wędliny roznosił się wokół, budząc u pozostałych mieszane uczucia, z których zazdrość była chyba pierwszym. Panowie z antybabskiego klubu cieszyli się jak dzieci. Ponieważ nie brali ze sobą kobiet, mogli jeść, co chcieli. Nie musieli gotować cienkich zupek z proszku, w ogóle nie musieli gotować. Gotowanie, jak wiadomo, to nie męska rzecz. Założyli, że kiełbasa ma im starczyć na dłużej i choć byli głodni jak cholera, odkroili sobie tylko po małym kawałku, resztę zdobywszy starannie chowając pod namiot, by miała przewiew i się nie zepsuła. W normalnych czasach taka kiełbasa starczyłaby im na jedno męskie podejście. No, ale w trudnych warunkach ludzie zachowują się różnie.

– Panowie, odstąpcie mi kawałek kiełbasy – poprosiłem.

– O, ty nie jesteś z naszego klubu, nie damy ci, niech ci twoja kobieta wystarczy – powiedział jeden z nich, za radosnym przyzwoleniem pozostałej dwójki.

– Mam jeszcze kartki, to wam odkupię – dodałem, tracąc chyba przy tym resztki godności.

– Mowy nie ma – brzmiała stanowcza odmowa.

– Pies was ganiał! – machnąłem ręką i zrezygnowany odszedłem pod swój namiot.

Powiedziałem to chyba w złą godzinę. Muszę dodać, że na spływie był również olbrzymi dog, którego woził w kajaku Paweł. Dog był młody, miał więc wilczy apetyt. Zaledwie odszedłem parę kroków, rozżalony po odmowie, kiedy rozległ się straszny krzyk z trzech gardeł. I postępujący lawinowo śmiech na obozowisku. Ryczał komplet „Klubu Bez Bab”, śmiała się reszta obozu – widząc doga pędzącego na oczach wszystkich z pętem kiełbasy w zębach w stronę najbliższych krzaków...

Około godziny piętnastej docieramy z młodzieżą do służby w Przewięzi. „Myśliwska” zamknięta z powodu awarii. Z Myśliwską wiąże się pewne zabawne zdarzenie. Kiedyś nasza ekipa z Ursusa biwakowała nad Studzienicznym i wybrała się do tej restauracji na posiłek, którego głównym składnikiem było oczywiście piwo. W pewnym momencie wybuchła jakaś awantura wśród tutejszych miłośników tego trunku i wkrótce przyjechała milicja. Legitymowała wszystkich gości restauracji, w tym i naszych kajakarzy, którzy dowody tożsamości zostawili oczywiście na biwaku. Widząc grupę skąpo ubranych wodniaków milicjanci poprzestali tylko na zapisywaniu nazwisk i puszczali ich wolno. Jednak jeden z naszych miał pecha.

– Wasze nazwisko?

– Em.

– Jak, jak?

– Em, Stanisław Em.

– Żarty sobie robicie? Pokażcie dowód osobisty.

– Nie mam przy sobie, został na biwaku.

No i Stasia zabrali na komisariat w Augustowie, gdzie przesiedział do rana ubrany tylko w krótkie spodenki i sportową koszulkę. Koledzy wprawdzie przynieśli na posterunek jego dowód osobisty, ale już było za późno. Wpadł biedak w tryby biurokracji. Został zarejestrowany jako uczestnik bójki i za parę miesięcy Kolegium w Augustowie ukarało go grzywną za zakłócanie porządku publicznego, w dodatku orzekając że robił to w stanie nietrzeźwym. Trzeba tu dodać, że Stasio, mający pseudo „Snajper”, był jednym z najspokojniejszych ludzi na świecie. Czyli siedział (i płacił) za nazwisko, a kolegium nie dało się odwołać pomimo wysiłków kilku ludzi z Augustowa (w tym Witii).

Ja też znam trochę poczynania MO (Milicji Obywatelskiej) i Kolegium Orzekającego. Kiedyś w Płocku, gdzie pracowałem jako inżynier w Fabryce Maszyn Żniwnych zostałem spałowany przez Milicję i posadzony „na dołku”. Parę lat później milicjant we Włocławku nalegał by zapłacić mandat za nieposiadanie karty pływackiej. Byłem wtedy na spływie Wisłą z Jasiem Dworczykiem i chodziłem brzegiem Wisły bez nałożonego kapoka. W obu wypadkach nie zapłaciłem ani mandatu ani nie uległem presji Kolegium i zostałem uniewinniony. Nie wiem czy znajduje się w Polsce jeszcze ktoś inny szczytujący się tak rzadkim rekordem. Wygrać z Kolegium w tych czasach, to rzadziej niż wygrać milion w Totolotka.

Wpływamy na jezioro Białe. Na szczęście front przeszedł, pokazało się słońce i wiatr osłabł. W porywach trójka i jak zwykle z zachodu. Gdyby wiało mocniej, nie popłynęlibyśmy przez jezioro, które jest bardzo niebezpieczne przy zachodnim, silnym wietrze.

Dla odmiany mamy epidemię gubienia piór od wiosła. Aluminiowe wiosła z plastikowymi piórami. Do tej pory sprawowały się bez zarzutu. Pierwsze pióro stracił Młody, jeszcze na kanale, musiałem szybko skakać, nim zdążyło się zanurzyć. Na jeziorze odpadło Wiewiórze (pewnie rodzinna przypadłość). Na szczęście było płytko i udało się je wyciągnąć. Potem Joli, następnie Tomkowi... i jeszcze komuś. W końcu straciłem kontrolę nad tym procesem, część piór odpłynęła na zawsze.

Przed nami – holownik z tratwami. Daję hasło i za chwilę też się holujemy, z prędkością dwóch kilometrów na godzinę. Teraz możemy spokojnie pomyśleć o drugim śniadaniu, chleb jeszcze mamy. Posileni, wypoczęci i już na drugiej, bliższej Augustowa części jeziora, odczepiamy się i dajemy na wiosła (te, które są w komplecie). Cel – obiad w PTTK-u.

Oddajemy kajak panu Gienkowi. Wpadam do rodziców. Udaje mi się wycygnąć od ojca trzy paczki „Sportów” (jest potentatem, bo pracuje w fermentowni tytoniu). Czuję się przynajmniej jak milioner. Niewiele się pomyliłem, bo okazuje się, że na czarnym rynku paczka „Sportów” kosztuje 50 zł. Jak to niedużo brakuje człowiekowi do szczęścia... Pytam się taty, co będzie dalej z Polską? Wejdą, nie wejdą?

– Jerzy, przecież oni tu są, już od wojny. Wiesz dobrze, że dawne tereny niemieckie na zachodzie i północy są obsadzone przez rosyjskie dywizje. – Oni nigdy z Polski nie zrezygnują – dodaje, zaciągając się papierosem.

– Tak, niestety, ma chyba rację. Niewesołe perspektywy – myślę z rezygnacją.

Biwakujemy nad jeziorem Rospuda, naprzeciw wyspy Wianek. Jest tam ogólnie dostępny biwak, także dla samochodów. Ostatnie ognisko. Dosiadają się zmotoryzowani, jakaś kobieta z córką i zięciem, znająca mnóstwo piosenek. Nic dziwnego, że biesiada trwa do trzeciej rano.

31 lipca, godzina dziesiąta

– Dzień dobry! Czy to państwo przywieźli tę smutną wiadomość, że od poniedziałku nie będzie w Augustowie benzyny? – pyta nas posiadaczka Fiata 126 z sąsiedniego namiotu.

– Nie, to nie my – odpowiadam. – My jesteśmy napędzani ręcznie.

– A, to przepraszam.

Obok stoi jakiś facet w okularach i zaczyna ze mną pogawędkę. Oczywiście, o sytuacji w kraju. Radzi mi przeczytać *Umysł zniewolony* Miłosza. Tak, tylko to jest książka nie do zdobycia w Polsce.

– Jest, tylko w drugim obiegu – informuje okularnik.

– W drugim obiegu jest teraz sporo ciekawych książek – dodaje.

I zaczyna sypać tytułami, a także informacjami. Szczególnie dużo wiadomości ma na temat Żydów, rządzących PRL. I podaje szereg znanych nazwisk, brzmiących po polsku, oraz te prawdziwe. Nie przypuszczałem, że tych przebierańców jest aż tylu.

Jedno, co mnie zastanowiło podczas wędrówki, to ufność ludzi względem siebie. Nieznajomy z nieznajomym rozmawiał po chwili jak brat z bratem. To typowo polska cecha. Tylko w Polsce mogła powstać „Solidarność”, bo nie zostały zerwane więzy międzypokoleniowe i tradycja podtrzymywana przez wiarę i Kościół.

Godzina dwunasta. Odpływamy w ostatni rejs do przystani PTTK. Czeka tam na nas zmiana. Przekazujemy sprzęt następnej grupie i idziemy do „Sielawy”. To niedaleko, w Klonownicy, tuż za mostem. Spotykamy się z Witią, który stawia mi flaki, bo z pieniędzmi już krucho. Wędrujemy do stacji Augustów-Port, na pociąg do Warszawy. Na peronie częstują młodszych, palących kolegów, zdobycznymi papierosami. Żeby zaoszczędzić, palą jednego „Sporta” w kółku. Jak to młodzi, robią sobie z tego zabawę. Wszyscy są zadowoleni ze splotu, opaleni, tryskający radością. Czekamy na pociąg na jednej z najbardziej malowniczych i dogodnych komunikacyjnie stacji kolejowych Polski. Jest położona nad jeziorem Białym, które jest widoczne w odległości kilkudziesięciu metrów od peronu (można tu wodować kajaki prosto z pociągu), tuż przy szosie Augustów – Suwałki, od której odchodzi pod kątem prostym droga prowadząca do WDW (Wojskowego Domu Wypoczynkowego, przed wojną był to Oficerski Yacht-Club), pięknie wkomponowany w sosnowy półwysep wcinający się w jezioro Białe. Z drugiej, zachodniej strony szosy, w odległości kilkudziesięciu metrów, odchodzi droga do budynku PTTK (przed wojną „Hotel nad Jeziorami”). Stoi w lesie, na urwistej skarpie, ale już nad jeziorem Necko. W prostej linii z peronu może będzie tam około stu metrów. Oba te budynki, o oryginalnej architekturze, zostały zbudowane jeszcze przed drugą wojną światową.

Szosa biegnie równoległe do toru kolejowego, dlatego żeby dostać się do WDW, trzeba przeciąć tory.

Patrzę w kierunku przejazdu i ogarnia mnie smutek. Tutaj trzynaście lat temu, na torach, zginął mój przyjaciel, Józek (raniony strzałą nad jeziorem Serwy). Wracał nocą z WDW do miasta, z kolegą. Jechali motorem i na tym przejeździe zderzyli się z pociągiem jadącym z Suwałk do Warszawy. Takie wypadki się zdarzają, trzeba jednak dodać, że pociąg był spóźniony o około godzinę. Z Suwałk jest raptem trzydzieści kilometrów. Znali rozkład jazdy i chyba musieli jechać na pewniaka. Józek wiele razy ocierał się o śmierć. Pamiętam jego kilka wypadków, w tym dwa w latach studenckich, w Warszawie. W końcu śmierć go dopadła.

Pociąg z Suwałk do Warszawy przyjeżdża punktualnie o szesnastej trzydzieści pięć. Mimo że wielu turystów odjeżdża dziś z Augustowa, udaje się nam zająć miejsca siedzące. Żegnaj przygodo... oraz... witaj przygodo! Za tydzień mam następną wyprawę. Tym razem miesięczny rejs jachtem po Bałtyku, ale bez prawa zawijania do obcych portów. Cóż, nie ma róży bez kolców.

# Rozdział III

## Nad Czarną Hańczą (i nie tylko)

### 1. Jak mama Trampa żeniła

W porze wakacyjnej brałem zazwyczaj brał udział w spływach kajakowych organizowanych przez koła PTTK w różnych rejonach kraju. Jednak przez pierwsze lata po Afryce najczęściej jechałem ładować akumulatory w rodzinne strony. Wypożyczałem kajak w Augustowie i spływałem Czarną Hańczą lub Rospudą. Ponieważ nie lubiłem pływać samotnie doбираłem sobie jakieś towarzystwo. Najczęściej chętnym był mój kolega Tramp, który nie zdążył się ożenić z braku czasu. Obszerniej piszę o nim w książce *Czuczka w cieniu oliwki*. To on właśnie był tym tytułowym Czuczka. Będąc z nim w Augustowie, zajechaliśmy do mamy (tata niestety od dwóch lat już nie żył). Ta w mig oceniła kolegę, i widać było, że się jej spodobał. Starsza już, ale niezwykle energiczna kobieta miała niezwykle dar oceniania ludzi, odróżniała dobrych od złych natychmiast. I to niezależnie od tego jak są ubrani, kim są, jak się wyrażają, co w danym momencie robią czy mówią. Taki „rentgen”, prześwietlający człowieka, rzadki dar od Boga.

– A kawaler ile ma lat? – zagadnęła na przywitanie?

– 38 – wybąkał zaskoczony Tramp.

– Taki przystojny i jeszcze nieżonaty, co?

Tramp w odpowiedzi uśmiechnął się – żadna mnie nie chciała – wzruszył ramionami.

– Ja kawalera wyswatam! Jerzy, jedziemy!

Cóż było robić? Mamie się nie odmawia, zwłaszcza jak się ją widzi raz na parę lat. Teraz właśnie widziałem ją pierwszy raz po powrocie z Algierii. Główną zdobyczą materialną mojej pracy w Afryce był kilkunastoletni samochód Peugeot 305, ruina, którą po generalnym remoncie silnika poruszał się po Polsce całkiem szybko.

Pierwsze kroki, tzn. pierwszy kierunek poszukiwań - to była Szczebra, rodzinna wieś mamy. W Szczebrze (nazwa dla Niemca nie do wymówienia) zjechaliśmy z głównej szosy do Suwałk na boczną drogę prowadzącą do jakiegoś gospodarstwa. Dalszą jazdę zamykała drewniana brama. Obejście było puste i sprawiało wrażenie wymarłego.



– Daj sygnał – zaordynowała natychmiast mama, nie uznająca żadnych przeszkód podczas akcji.

Żadnego odzewu. Jednak po jakimś czasie pojawił się w polu widzenia zgarbiony staruszek. Szedł wolno, podpierając się laską. Mama energicznie wysiadła i podążyła mu na spotkanie:

– Dzień dobry Stasiu! Nie poznajesz mnie?

Starzec znieruchomiał, coś w nim drgnęło i zaczął się prostować;

– Monika!

I tu nastąpiła chwila wzajemnych ochów i achów. Oboje działali przed wojną w jakimś Kółku Młodzieży Katolickiej. Jednak widać było, że wiązała ich wspólna przeszłość. Mówili ciągle o jakiś balach, występach zespołów ludowych, tańcach, śpiewach. Mama wytłumaczyła cel swojej wizyty, na co starszy pan wyjaśnił, że jego dzieci są daleko stąd, syn w USA, córka jest urzędniczką w Suwałkach, a wnuczki na studiach, jedna w Białymstoku na Akademii Medycznej, a druga w Warszawie na jakimś fakultecie. Żona umarła, został sam jak palec. Mówiąc to, spoglądał z uśmiechem na swoją rozmówczynię i widać było jak w miarę rozmowy ubywa mu lat, bo prostował się coraz bardziej.

– Ale ty Monika wcale się nie zmieniłaś! – powiedział całkiem już wyprostowany. – Zapraszam na herbatkę – dodał.

Jednak nie mieliśmy czasu na dłuższe pogawędki, toteż pożegnaliśmy sympatycznego staruszka i pojechaliliśmy dalej. Dalsze sytuacje były podobne do pierwszej. W kolejnych gospodarstwach na spotkanie wychodzili starzy ludzie i zawsze było to samo:

– O, Monika!

Były to spotkania ludzi, którzy przed wojną tworzyli zgraną, lubiącą się bawić paczkę. I to chyba nieźle, sądząc po reakcjach. A Mama musiała się mocno udzielać, skoro po tylu latach reakcje były wszędzie podobne.

Finał nastąpił w Smolnikach, które chciałem mamie pokazać i sam je obejrzeć po raz kolejny. Nie było to już po drodze, dawno straciliśmy nadzieję na znalezienie żony Trampowi. Smolniki były po prostu piękne (są pokazane w filmie A. Wajdy „Pan Tadeusz”).

W Smolnikach jest drewniana wieża widokowa, na którą mama mimo swoich lat dzielnie się wspięła. Na platformie stała grupka młodzieży, do której przewodnik, starszy siwy pan, opowiadał o terenie. Zobaczywszy mamę, przerwał i krzyknął :

– O, Monika!

## 2. Sielawa we Frąckach

Jakiś czas później wczasowaliśmy z moją żoną Kleo na biwaku we Frąckach. Tym razem stacjonarnie, bo zamiast kajaka stał obok namiotu stary Peugeot 305, którym przyjechałem z Algierii. Pracowałem tam na trzyletnim kontrakcie jako wykładowca akademicki na uczelni technicznej położonej aż na Saharze (sic!). Moje przygody w tym kraju, a zwłaszcza podróż uszkodzonym samochodem do Polski opisałem w książce *Turyści Polservisu cz. II Algieria* (druk w marcu 2016 r.)



Przystan PTTK we Frąckach, od lewej: autor, Węgrzyn (szef PTTK w Ursusie), Janusz Tichy

Frącki, a ściślej stacja wodna PTTK o tej nazwie to dla mnie miejsce magiczne. Malowniczo położone na obszernej polanie wznoszącej się nad lewym brzegiem Hańczy. Za polaną w kierunku wschodnim rozciągają się przepiękne lasy z przewagą sosny, ciągnące się aż do Niemna, naturalnej granicy geograficznej tej krainy w północno-wschodnim zakątku Polski. Przez miejscowość Frącki biegnie szosa z Augustowa do przejścia granicznego Ogrodniki na Litwę do Druskiennik, ulubionego uzdrowiska Józefa Piłsudskiego. Ten teren to także pogranicze trzech państw i kultur: polskiej, litewskiej i białoruskiej.

Każdy spływ z Wigier tutaj właśnie zatrzymuje się na nocleg, pole biwakowe pomieścić może grubo ponad 100 namiotów, są tu także domki kempingowe. W stacji można zjeść posiłek, zrobić drobne zakupy, a po większe trzeba udać się do sklepu we Frąckach lub przez most do Głębokiego Brodu. To miejsce upodobał sobie Janusz Ptański pseudo Węgrzyn, szef PTTK w Ursusie. Zrezygnował z pływania kajakami i zorganizował wczasy pod namiotami dla załogi fabryki traktorów. Dojeżdżało się autokarami, kiedyś skorzystałem z tej formy dojazdu. Codzienne

spacery wzdłuż rzeki, wyprawy na jagody czy grzyby, pływanie w Hańczy, wieczorne ogniska na tętniącej nocnym życiem polanie. W latach osiemdziesiątych gorzej było z zaopatrzeniem, po lepsze niż sikacz wino trzeba było jechać aż do Augustowa. Wybrałem się po nie kiedyś razem z moim przyjacielem Januszem Tichym, obaj z plecakami. Wyładowani jak wielbłądy, uginając się pod ciężarem butelek doszliśmy zadowoleni z wypełnienia zadania do przystanku PKS w Augustowie. Niestety ostatni autobus już odjechał, trzeba było wziąć taksówkę. To spora odległość bo około 40 km, ale raz się żyje. Od szosy we Frąckach do biwaku jest kawałek drogi, rzemienie plecaka mocno wpijały się w ramiona. Przechodziliśmy akurat przez mostek nad strumykiem. Zrzuciłem ciężki plecak i żeby trochę go trochę odciążyć wyciągnąłem butelkę. Kolega zrobił oczywiście to samo. Popijając bułgarską „Niedźwiedzią krew” zadowoleni z życia zapaliliśmy po papierosie.

– Ech życie jest piękne – powiedział Janusz w pewnym momencie.

Akurat w tym czasie do mostku podeszły dwie turystki, też zapewne wracające z zakupów.

– Myto – powiedziałem.

Kobiety zbaraniały.

– Za przejście przez tą kładkę trzeba zapłacić – powtórzyłem z uśmiechem.

– Ach, to o to chodzi – powiedziała bystra brunetka. – Proszę bardzo.

I wyciągnęła w naszym kierunku butelkę wódki.

– Ale my wódki nie lubimy, wolimy wino – wyjaśnił przystojny brunet Janusz.

– My też, ale we Frąckach nie ma wina – wyjaśniła z uśmiechem koleżanka brunetki wodząc za Januszem oczyma. Była oczywiście blondynką.

– Zatem pozwolą panie, że poczęstujemy je winem? – zapytałem wyjmując następną butelkę z przeładowanego plecaka.

Pytanie było formalnością. Po wypiciu kilku toastów zaprzyjaźniliśmy się tak dalece, że panie zaprosiły nas na wieczorne ognisko. Chętnie skorzystaliśmy z zaproszenia, Jak się okazało na skraju polany biwakowała spora grupa turystów spod Warszawy. Rano powracali do domów, więc było to zarazem ognisko pożegnalne. Nie muszę dodać, z jakim aplauzem biesiadnicy powitali przyniesienie gitary. Zabawa trwała po świt.



Stacja wodna PTTK nad Czarną Hańczą we Frąckach

Wpadałem do Frącek z Warszawy nawet na dzień czy dwa, by poddychać świeżym powietrzem. Raz podróżowałem nawet dosyć dziwnym środkiem lokomocji. W któryś upalny sierpniowy piątek zjawił się w Warszawie Tramp. Przybył ze Śląska samochodem ciężarowym załadowanym kaloryferami. Ponieważ odbiorca tych kaloryferów nawalił i miał zjawić się dopiero w poniedziałek popatrzyliśmy sobie w oczy.

– To co, Frącki? – spytał Tramp dla formalności.

Do celu dojechaliśmy gdzieś koło północy. Samochód ciężarowy załadowany po burty żeliwnym ładunkiem i w dodatku z dźwigiem do wyładunku materiałów nie porusza się za szybko (mój Peugeot był akurat w kolejnym remoncie). Znużeni upałem i długą jazdą non stop podjechaliśmy pod stację benzynową we Frąckach i wtedy przyszło na nas opamiętanie. Wypadliśmy z domu pod wpływem impulsu, więc nie mieliśmy głowy do zaopatrzenia się w jakikolwiek prowiant, o napojach nie wspominając. Wyjechaliśmy o suchym pysku, a przez drogę wyschliśmy na wióry. Najlepszym napojem na gorąco byłoby piwo. Jednak byłem solidarny z kierowcą i nie posiadałem nawet jednej butelki. Teraz, prawie u celu podróży - jakim była stacja wodna, poczuliśmy straszliwe pragnienie. Doświadczenie nabyte w PRL-u mówiło, że tutaj nie ma żadnego punktu, gdzie można by cokolwiek kupić o tej porze. Jedyna nadzieja została za nami w Augustowie, ale tam jakoś nie próbowaliśmy zakupów opętani jedną myślą: „jak najszybciej do Frącek”. A ścisłej nad brzeg rzeki, by tam na tej wysokiej skarpie poczuć chłodny, nieskażony spalinami ożywczy wilgotny powiew

od wody, spojrzeć w górę na gwiazdzone niebo, pozbyć się cywilizacji. Tankujemy paliwo i umierający z pragnienia wchodzimy do wiejskiej chaty, gdzie mieści się kasa. Wchodzę i oczom nie wierzę! To chyba fatamorgana? Sen jakiś? Wszystkie ściany stacji benzynowej są wypełniane półkami z piwem! Ale nie jakimś tam sikaczem typu Suwalskie, czy inne „mocze pawiana” rzucane na rynek za komuny. Wtedy ludzie kupowali to obrzydlistwo z braku innych możliwości. Nie, uchwaj Boże, na tych półkach w stacji benzynowej położonej na krańcu Polski są piwa całego świata! I to niecały rok po słynnym komunikacie pani Joasi Szczepkowskiej o końcu komunizmu.

– Co panowie sobie życzą, Heineken, Tuborg, czy może Żywiec?

Po zaspokojeniu pierwszego pragnienia rozpoczęliśmy konwersację. Gdy sprzedawca dowiedział się, że jedziemy na biwak do stacji, zaproponował zakup pięciolitrowej beczki.

– Panowie, nie ma sensu się rozdrabniać.

Wtedy zrozumiałem, że komunizm się już naprawdę skończył. Tu, w tej zapadłej dziurze na końcu Polski było więcej piwa, a na pewno w większym wyborze - niż w całej Warszawie jeszcze rok temu, za komunizmu!

Siedzimy więc stacjonarnie we Frąckach, jest to mój pierwszy wakacyjny wyjazd z Kleo. Partnerka boi się wsiadać do kajaka, więc wyjazd razem na spływ odpada. Siedzę więc na wysokiej skarpie i patrzę w dół na rzekę, na której od prawej pokazywają się kajaki i znikają na zakręcie po lewej. Niektóre, zwłaszcza po południu, przybijają do brzegu, ludzie wychodzą na brzeg i rozstawiają namioty. Jutro popłyną dalej. Kleo, bystra kobieta zauważyła te moje tęskne spojrzenia, pewnie to był impuls by dla naszej wspólnej przyszłości jednak przestać bać się pływania kajakiem.

Drugiego dnia po południu zjawił się Witia. Był tu w zasadzie służbowo, o czym świadczył zielony mundur współgrający kolorystycznie z małym Fiatem. Już nie miał w ręku butelki piwa, jako elementu przywitania. Nie te czasy. Ponieważ czuł się tu niejako gospodarzem, zaczął z innej beczki:

– Macie może ochotę na sielawę?

No pewnie, co za pytanie. Stało na tym, że nam przywiezie jutro rano pięć kilo świeżej ryby.

Nazajutrz rano Witia rozpoczął instruktaż:

– Jerzy! Widzisz tę olchę? Tu masz siekierę i wytnij to drzewo. Zanieś je do leśniczego do wędzenia, on już o wszystkim wie, ryby już mu zawiozłem. Oprawisz ryby i pamiętaj! – wieszaj ryby nie za główki, tylko za ogonki. I każdą rybkę pocukrzyć!

Zawarczał Fiacik i Witia zniknął w obłoku spalin.

Z siekierą w ręku podszedłem do wskazanej olchy. Jednak dostępu do niej broniły pokrzywy i bagno. Na pokrzywy miałem sposób, na bagno, niestety nie. Ledwie wylazłem po paru krokach z błota po pas. Co, do cholery, chciał mnie tu utopić?

Machnąłem ręką i poszliśmy do leśniczego. Ryby już były oprawione i wisały w wędzarni, właśnie się wędziły. Kontrolnie tylko zapytałem, czy wiszą za ogonki. Młody, sympatyczny człowiek, zaśmiał się szeroko odsłaniając komplet białych zębów:

– Przecież za główki łatwiej.

W odpowiedzi na pieńku postawiłem dyplomatycznie parę piw.

Po południu przyjechał zasępiony Witia.

– Korniki atakują las na południe od Kanału. Jak się nic nie zmieni, to za parę lat Puszcza Augustowska przestanie istnieć.

– A jak tam rybki? - zmienił nagle temat.

W milczeniu wskazałem na plon naszej znoonej pracy Głodny po pracy leśnik z zapalem rzucił się na uwędzone na złocisty kolor sielawy. Olbrzymia porcja ryb topniała w oczach. Po paru chwilach pożerania nastąpił nieunikniony egzamin:

– Olcha była?

– Była!

– Za ogonki?

– Za ogonki!

– Cukier był?

– Był!

– No, proszę. O, i to jest ryba! I jak smakuje! Nie macie czegoś do popicia?

Jak wspomniałem, to już były inne czasy - po zmianie systemu - więc zamiast piwa, czy czystej wódki (jak Bóg przykazał) Witia popił ryby białym hiszpańskim winem (kupionym w dużych ilościach w sklepie w Sejnach i schłodzonym w lodówce w punkcie gastronomicznym przy Stancy).

Po konsumpcji położył się na plecach i natychmiast zasnął. Obudziwszy się po godzinie, popatrzył w niebo, pomedytował chwilę i rzekł tonem komunikatu:

– Czy wiesz, że nad Zelwami biwakuje Dwoch?

Poderwałem się:

– To teraz mi to mówisz?

Dwoch, to malownicza postać. Zналиśmy się jeszcze ze studiów, później los, czyli tzw. stypendia fundowane rzucił nas do Płocka, w końcu razem wylądowaliśmy w Ursusie. Tam go spotkał Majster, kolega ze studiów, szef Klubu Kajakowego, i z miejsca namówił go na spływ Dunajcem. Klub miał własnej roboty przyczepę kajakową, którą transportowano drewniane kajaki i co roku wyprawiano się na tę prawdziwie górską rzekę. Metodyka naboru była prosta. Wystarczyły dobre chęci, kwalifikacje niekonieczne. Zasadą było: słabsi odpadają. I takim to sposobem Majster namówił Dwocha na spływ:

– Weź jakiegoś kolegę i zbieraj się z nami.

Dwoch nie miał trudności ze znalezieniem kompletu do kajaka:

– Spotkałem kolegę, szefa kajakarzy w Ursusie, namawia mnie na spływ Dunajcem. Pływają co roku na Boże Ciało. To co, płyniemy razem?

I popłynęliśmy. Miałem ogromną treść przed wyjazdem. Nawet nie wspominam o obawach związanych z płynięciem górską rzeką, której odcinek przez Pieniny przepłynąłem kiedyś tratwą. Wątpliwości dotyczyły wszystkiego. Jechaliśmy autokarem, nie miałem wprawy w tego typu wyprawach, nie wiedziałem czy wypada zabrać np. gitarę, o butelce wina pod ręką nie wspominając. Na wszelki wypadek zabrałem i gitarę i wino. Autokar typu Jelcz ruszył sprzed bramy Z.M. Ursus, przed nami kilkunastogodzinna jazda do Nowego Targu. Co robić? Radio nie gra, filmów z DV jeszcze nie puszczają, nastąpi to za kilkadziesiąt lat. Po jakimś czasie, by się lepiej zaaklimatyzować wypiliśmy po kryjomu po butelce wina. I od razu przyszedł rozum do głowy. Alkohol lubi śpiew. No to, od czego gitara. Obaj gramy na niej, obaj śpiewamy, w Płocku spędziliśmy wiele upojnych wieczorów, właśnie z koleżanką Gitarą. Poza tym lubimy śpiewać na głosy. I po cichutku, nieśmiało zaczęliśmy sobie podśpiewywać. A siedzieliśmy skromnie na końcu autokaru. Ale co to? Widać przyjaźnie uśmiechnięte głowy obracające się w naszą stronę.

– Głośniej, głośniej!

Gitara daje silniejsze akordy, ludzie włączają się do śpiewu. I zaczyna się BALANGA. Napisana dużymi literami dlatego, że od tego spływu zaczęła się eksplozja imprez kajakowych w Ursusie. Traf chciał, że tym autokarem jechało, najczęściej po raz pierwszy, wiele malowniczych postaci, które stanowiły później trzon kajakarskiej ekipy Ursusa: Jamnik, Bąbel, Kominiarz, Kamyk z Kama, Snajper.... Autokarem dowodził wówczas żelazną ręką Zdich pseudo Ben (nie dopuścił do kupienia piwa na którymś postoju – pewnie się przestraszył rosnącego lawinowo nastroju, czemu nie można się zbyt dziwić). Bractwo tak się zintegrowało, że jeszcze tego roku popłynęliśmy na kilka innych ogólnopolskich spływów. To był rok startu we wspaniałą kajakarską działalność grupy, zwanej Wodniackim Klubem Ursus (czy jakoś podobnie). A mocnym filarem grupy był właśnie Dwoch.

Pomijam jego fachowość, jako inżyniera, która była wprost proporcjonalna do jego fantazji i do intensywności zabawy. Jediną wadą Dwocha było to, że dla niego zabawa nie miała ograniczeń. A życie, niestety, jest takie jakie jest.

Rozstaliśmy się po odejściu z Ursusa, każdy poszedł swoją drogą. Ale lubiliśmy bawić się razem. Toteż, kiedy usłyszałem od Witii o tej wspanialej wiadomości, natychmiast poczułem nieodpartą potrzebę integracji. Niezwłocznie wsiadamy w samochody i prujemy na biwak na końcu świata, tuż przy granicy litewskiej, o którego położeniu mógł wiedzieć tylko Witia.

Było już ciemno i głupio mi się zrobiło gdy zobaczyłem dwa namioty wtulone w pustkę wieczoru nad brzegiem jeziora. Może nie wypada.....?

– Co to znaczy nie wypada – myślę i wypowiadam hasło:

– Holike like,

– Bank czike like – słyszę znajomy głos.

I już razem:

– Hulk hulk hojer, Lady ulthojer!

Po tych frazach, które było zawołaniem wodniaków z Ursusa, nie było już żadnych wahań, więc zabrałem dawno nie widzianego przyjaciela, razem z jego żoną zwaną Córúś (poznał ją na Dunajcu) na biwak we Frąckach, by dokończyć sielawowej uczyty. Nawet nie warto wspominać, że gdzieś nad ranem nie obyło się bez interwencji siły wyższej, czyli kierowniczkii stanic. Przyczyna interwencji była taka jak zawsze, kiedy się razem spotykaliśmy przy ognisku:

– Panowie ciszej, ludzie już chcą spać.

### **3. Niemki na Hańczy**

Następnego lata znów pojechaliśmy z Trampem do Augustowa. Wypożyczyliśmy z przystani PTTK nad jez. Necko dwa kajaki. Firma przewiozła je do Starego Folwarku, skąd zamierzaliśmy płynąć znanym szlakiem Czarnej Hańczy do Augustowa. Już nad Wigrami pakując sprzęt w kajaki z nostalgią wspominałem stare dobre czasy, kiedy byłem tutaj kilkakrotnie instruktorem w szkółce kajakowej w latach siedemdziesiątych. Ale pływałem tu znacznie wcześniej będąc jeszcze uczniem Szkoły Ogólnokształcącej. Sprawcą tego zdarzenia był prof. Ryszard Jędrzejewski, który zorganizował w szkole pierwszy spływ, w którym uczestniczyło raptem 10 osób.

– Wiesz kiedy płynąłem tym szlakiem pierwszy raz? – spytałem Trampa. – W 1955 roku.



– To chyba niemożliwe – powiedział kolega. – I pomyśleć, że mnie jeszcze wtedy na świecie nie było. – To właściwie pływasz całe życie – dodał po chwili.

Wsiedliśmy w kajaki, opływając po lewej kościół dawnego zakonu Kamedułów. Osiedlili się tutaj w drugiej połowie XVII wieku za panowania króla Jana Kazimierza. Wtedy to była wyspa, którą zakonnicy połączyli groblą z lądem. Wykonano najpierw specjalne tarasy umacniające i podwyższające poziom terenu a następnie wybudowano kościół z cegły i domki pustelnicze zwane eremami. Malownicza sylwetka kościoła widoczna jest z daleka na jeziorze i pełni rolę swoistej latarni morskiej. Ich rządy nad olbrzymimi posiadłościami trwały nieco ponad 100 lat, po trzecim rozbiórce Polski władze pruskie wyrzuciły ich z tego rajy na ziemi. Podobno zakonnicy szli na kolanach parę kilometrów rozpaczając po utracie posiadłości. Na zakończenie swojej pokutnej drogi postawili krzyż drewniany koło Mikołajewa. W rezultacie wygnania osiedlili się w Warszawie na Bielanach.

– To nie Rosjanie ich wyrzucili? – zdziwił się Tramp, wysłuchawszy mojej opowieści.

– Nie, te ziemie dostały się Prusakom. Zresztą historia powtórzyła się na początku drugiej wojny. Zgodnie z traktatem Ribbentrop - Mołotow Suwalszczyznę w 1939 roku zajęli Niemcy, a Rosjanie większość powiatu augustowskiego. Granica między nimi biegła kilka kilometrów na zachód od Augustowa wzdłuż Rospudy , czyli prawie jak przed wojną, a częściowo wzdłuż rzeki Blizny – zgodnie z ustaleniami traktatu Ribbentrop-Mołotow.

– O, tego nie wiedziałem. To ciekawie tu musiało być było podczas wojny.

– Bo i było. Po obu stronach Blizny mieszkali członkowie tych samych rodzin. Przemyt i partyzantka to był codzienność na tych terenach.

Opłynęliśmy wyspę klasztorną dookoła i skierowaliśmy się na wschód. Przed nami widniało trudno zauważalne wejście na jezioro Postaw.

– Kiedy byłem tu pierwszy raz to ten kościół był w ruinie – powiedziałem rzucając okiem na znikające już wieże klasztoru.

– To Niemcom tak ta budowla przeszkadzała? – zdziwił się kolega.

– Nie Niemcom, a Rosjanom. Jak tu przyszli w 1944 roku to ustawili katusze i walili w klasztor tak długo aż go zrównali z ziemią.

– Wiadomo, cel strategiczny – zaśmiał się z ironią. – Tam, gdzie się zjawia to tak zawzięcie walczą o pokój, że kamień na kamieniu nie zostaje.

– Przyjechałem tu rowerem chyba 6 lat po wojnie w odwiedziny do mego wujka, który mieszka w pobliskim Mikołajewie. Pamiętasz go, byliśmy tu z mamą w zeszłym roku.

– A tak, wuj Teofil.

– Zgadza się. Kościół był kupą gruzów, a w podziemiach poniewierały się szczątki dawnych kamedułów. A wiesz jakie było ich zawołanie? „Memento mori”, czyli „Pamiętaj o śmierci”.

– No i pamiętali o śmierci nawet po śmierci – zaśmiał się gorzko Tramp.

Tak rozmawiając, wpłynęliśmy w jezioro Postaw, nad którym po prawej znajdowały się hangary spółdzielni rybackiej. Tu było kiedyś niezawodne miejsce zaopatrzenia się w ryby. Tę metę chętnie wykorzystywali doświadczeni bywalcy stacji PTTK ze Starego Folwarku.

– Tutaj odbywał się targ wymienny – objaśniłem. – Brało się flaszkę wódki i w zamian dostawało się sporą porcję sielawy. Dawało się te ryby do wędzenia na przystani i wieczorem odbywała się uczta – dodałem z nostalgią.

– Oczywiście ryba lubi pływać – dodał domyślnie kolega.

Wpłynęliśmy w Czarną Hańczę. Rzeka, na tym odcinku porośnięta po brzegach trzcinami, wije się nużącymi meandrami, więc nacisnęliśmy na wiosła i w miarę szybko minęliśmy zagrody Maćkowej Rudy. Od Wysokiego Mostu zaczynał się po obu stronach rzeki piękny las. Właściwie można było tu gdzieś zanocować, ale postanowiliśmy płynąć aż do Frącek, gdzie jak wiadomo była piękna, rozległa polana biwakowa, bar i nadzieja na spotkanie kogoś znajomego. Tak też i było. Na olbrzymiej polanie położonej malowniczo na skarpie nad rzeką widać było w wieczornym zmierzchu sporo namiotów. Ledwie dopłynęli, a ze skarpy dobiegł ich okrzyk:

– Hej Lady!

Lady, to było moje pseudo kajakowe z dawnych lat. Spojrzałem w górę i w zapadającej ciemności rozpoznałem sprawcę okrzyku. Był to „Dziura”, kajakarz z Łodzi. Płynęliśmy razem wiele lat temu na Ogólnopolskim Spływie Metalowców. Te spływy, organizowane w latach siedemdziesiątych przez wodniaków z Wrocławia, cieszyły się dużą popularnością. Dla mnie były to, oprócz spływów Złote Liście Wybrzeża, najbardziej sympatyczne spotkania towarzyskie przy ognisku. Wiązało się z nimi wiele romantycznych historii. Dziura też pamiętał wspólne ogniska, gdzie wszyscy się fantastycznie bawili, więc powodowany wspomnieniami chciał widocznie teraz przeżyć to jeszcze raz. Był świetnym gitarzystą, prowadził profesjonalny zespół muzyczny, jeden jego przebojów *Gdy pogoda dopisze i na biwak za miastem masz chęć...* śpiewało kiedyś pół kajakowej Polski, zwłaszcza tej z Wrocławia.

Nie zważając na drobny deszczyk, siąpiący nad pogrążonym w letargu obozowiskiem, przyniósł natychmiast gitarę. Cóż było robić?, wydostałem z kajaka swoją, by ją dostroić do gitary kolegi i przystąpiliśmy do „jam session”. Tramp w tym

czasie wyciągał bambetle z kajaków, w tym butlę gazową by zrobić herbatę. Gdy zapalił gaz, spod styku palnika z butlą wybuchnął płomień.

– Uszczelka! – pomyślałem.

Miałem już kiedyś taki przypadek - braku uszczelki pod palnikiem. Było to w środku suchego jak pieprz lasu. Wtedy kopnięcie nogą w kocher z woda uratowało i las i ludzi przed pożarem. Teraz jednak, gdy takie zagrożenie nie groziło, obserwowałem - przerywając na chwilę strojenie - jak sobie kolega poradzi z problemem. Groził jedynie wybuch butli, jednak czasu na właściwą reakcję było sporo. Tramp nie stracił głowy i też kopnięciem nogi strącił płonąca butlę ze skarp w wodę. Tam jednak butla, będąc w pozycji „głową ku górze” paliła się nadal, wolno spływając w dół rzeki. Było to pocieszne widowisko, bo zmusiło „strażaka” do rzucenia się w wodę. Tam przez zręczny obrót butli utopił płomień. Akcja był przeprowadzona prawidłowo, więc wróciłem do strojenia gitary. Dziura, który obserwował z rozbawieniem całe zajście spytał:

– Dobry jest, skąd go wytrzasnąłeś.

– O, to dłuższa historia. Byliśmy razem cały miesiąc na wycieczce autokarowej do Turcji i Grecji. W Grecji pływaliśmy nawet kajakami dookoła wyspy Thasos na morzu Egejskim. Sprawdził się fantastycznie jako kolega. Jest w porządku i jak widziałeś ma głowę na karku. Zdał także egzamin jako kajakarz na przełomie Raduni koło Gdańska. No co tam u ciebie? Gdzie twoja „Chmura”?

Chmura, żona Dziury, też płynęła na spływie Metalowców. Była z kolei znajomą Jamników, moich przyjaciół, którzy przed stanem wojennym wyemigrowali do RPA.

– Chmura została w domu. Stwierdziła, że jest już za stara by żyć jak zwierzę pod namiotem. Płynę z synem, ale po całodziennym wiosłowaniu padł w namiocie.

– To pewnie mały chłopiec, nic dziwnego że po wielogodzinnym pływaniu już śpi.

– Ależ wcale nie mały, niedawno skończył siedemnaście lat.

– W tym wieku to się idzie spać nad ranem – rzuciłem śmiejąc się.

– Wiesz jaka jest teraz młodzież – zasępił się na krótko kolega. – To nie to co my – dodał z uśmiechem. – To co, gramy?

Mimo niesprzyjającej pogody, a może właśnie dlatego *jam session* był udany. Być może, właśnie ta - „barowa” - pogoda to sprawiła. Mimo drobnego deszczu wokół zgromadziło się sporo słuchaczy nagradzających brawami improwizowany koncert.

– To co? Spotykamy się w Jałowym Rogu? – spytałem zadowolony, chowając po paru godzinach grania gitarę do pokrowca.

– Niestety nie, tutaj kończymy spływ – westchnął Dziura.

– Zatem, do zobaczenia na szlaku!

Rankiem powitała nas wspaniała pogoda. Jak to zwykle czynię, będąc tutaj, przeprowadziłem test na swoją kondycję fizyczną. Polegał on na tym, że od środka obozowiska pływałem pod prąd aż do wysokości baru znajdującego się na drugim końcu polany w górze rzeki. Tuż przed barem nurt rzeki był silny i tu był właśnie główny sprawdzian aktualnej formy, trzeba było ostro płynąć kraulem. Jeżeli udawało mi się dopłynąć do końca, znaczy - byłem w formie. Jeśli nie, trzeba było ćwiczyć. Tym razem nie dałem rady nurtowi. Nic dziwnego, nie miałem czasu na treningi, a i wiek swoje zrobił

Siedząc przed namiotem podczas śniadania i pijąc herbatę pomyślałem o nieudanym rajdzie w poszukiwaniu żony koledze. Wtedy przypomniałem sobie o innym zabawnym zdarzeniu, które miało tu miejsce chyba dwa lata temu.

– Pamiętasz, jak kilka lat temu była tu razem z nami moja siostrzenica Ewa.

– No pewnie, fajna laska. A dlaczego pytasz?

– No bo tu spotkała swoje przeznaczenie. Teraz jest już mężatką

– Masz na myśli tego warszawiaka Waldka, który przepływał tędy kajakiem?

– Właśnie tego. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego „uderzenia miłości” – mówiąc z francuska.

Istotnie, to było dziwne. Siedzieliśmy wtedy razem z Trampem i Ewą na skarpie obserwując kajaki płynące w dół rzeki. W jednym z nich płynął młody chłopak i dobijając do brzegu o coś zapytał. Ewa mu odpowiedziała, a on spojrzał w na nią i znieruchomiał. A miał zakapiorskie, niezwykle niebieskie oczy. Wysiadł z kajaka już trafiony. Ją także sparaliżowało. Wdali się w krótką wymianę zdań. Widać było wyraźnie, że są sobą zauroczeni. Nie minął rok i byli już po ślubie.

– Tak, że widzisz. Na każdego przyjdzie kiedyś kolej – rzekłem by pocieszyć kolegę.

– A mi to wcale nie przeszkadza, że jestem wolny strzelec – odrzekł beztrzesko. – Przynajmniej nie muszę się nikomu tłumaczyć w razie jakiejś przygody.

Najbliższa przyszłość pokazała, że bycie wolnym strzelcem ma jednak swoje zalety.

Parę kilometrów za Frąckami kończył się malowniczy odcinek rzeki i zaczynała się nuda. Po obu stronach Hańczy rozciągały się trzciny, po lewej w dali rozciągał się las. Jednostajność i upał rozleniwiwały. Jedyną rozrywkę stanowiły orzeźwiający skoki do wody z kajaka. Ale i to się znudziło.

– Przydało by się jakieś piwo – rzucił w pewnym momencie Tramp.

Kolega, jak zwykle, strzelił w dziesiątkę. I - o dziwo - w małej zatoczce wśród trzciny po lewej tkwił facet w kajaku z butelką piwa w ręce.

– Stary, skąd masz tutaj piwo? – spytałem zdziwiony

– Nie rozumiem – odpowiedział po niemiecku nieznajomy.

Przełączyłem się na ten obcy język z trudem. Nic dziwnego, używałem go wiele lat temu, a później pięć lat mówiłem po francusku. Jednak po krótkiej ale owocnej konwersacji facet wyciągnął z kajaka dwa Radebergery. Oczywiście, nie było mowy o zapłacie, byłoby to faux pas.

– Płyniecie do Jałowego Rogu? – spytał Niemiec.

– Tak.

– To zapraszam na ognisko. Wczoraj graliście fantastycznie.

Odplynęliśmy z głupimi minami. Piwo pomogło nam dojść do formy i wkrótce zaczęliśmy doganiać i wyprzedzać kajaki, o dziwo wszystkie z dziewczynami. Płynęły albo pojedynczo, albo we dwie. Jak to było w zwyczaju, pozdrawialiśmy je okrzykiem „Ahoj”. Wkrótce zorientowaliśmy się, że to były Niemki. Było ich chyba z dziesięć. Po którymś bardzo zachęcającym „ahoj”, przeszedłem na francuski i wdałem się w bliższą konwersację. Jak wykazały dalsze wydarzenia wszystkie te dziewczyny mówiły płynnie właśnie w tym języku. To była prawdziwa zagadka, bowiem były to wysokie, zgrabne i urodzive kobiety koło trzydziestki. Myśleliśmy, że są stewardesami na obozie kondycyjnym. Jednak zagadywane o to zaprzeczały.

– To może jesteście z Alzacji lub Lotaryngii – drażyłem temat.

Okazało się, że też nie, każda z nich mieszkała w innej części Niemiec.

Po minięciu leśniczówki w Łozkach, gdzie przeżyłem niegdyś bajeczną biesiadę u leśniczego, podwładnego Witii, zaczął się najładniejszy odcinek rzeki. Wysokie zalesione brzegi, bystry nurt i rozmowy z niemieckimi kajakarkami sprawiły, że etap minął błyskawicznie. Dopływając do Rygola przestrzegaliśmy dziewczyny przed płynięciem dalej nurtem rzeki.

– Tutaj trzeba skręcić w prawo. Płynąc prosto traficie na Białoruś – objaśniałem.

Zatrzymaliśmy się we wsi by uzupełnić zapasy. Chodziło głównie o alkohol.

– Przecież nie będziemy przychodzić na ognisko z pustymi rękami – skomentował Tramp.

Rozumowaliśmy - jak zwykle – identycznie. Jednak nie doceniliśmy sił przeciwnika. Gdy dobiliśmy na biwak, to znajomy Niemiec już czuwał i wskazał nam właściwe miejsce biwakowania, znajdowało się ono za sauną nad samym brzegiem wody. Namioty Niemców, a właściwie Niemek, już stały, a obok przygotowane do podpalenia ognisko. Tramp ocenił sytuację gospodarskim okiem.

– Ordnung muss sein – mruknął zadowolony ze zwolnienia go z obowiązku przygotowywania ogniska.

Okazało się, że dziewczyny miały właściwą obsługę. Drugim opiekunem był kierowca turystycznego mikrobusu. Zapowiadało się ciekawie. Uśmiechnięte łanie wracały akurat z sauny, więc zdążyliśmy jeszcze załapać się na uroki łaźni parowej. Wkrótce zapłonęło ognisko i zaczęła się balanga, która może się jedynie przyśnić we śnie. Wokół ogniska siedział wianuszek pięknych dziewczyn żądnych zabawy. Ich opiekunowie pełnili właściwie role kelnerów. Początkowo, popijając rozliczne trunki, nawiązała się luźna rozmowa rozpoznawcza. I znów nie mogłem się nadziwić znajomości francuskiego przez kajakarki. To nie mógł być przypadek! „Kelnerzy” serwowali trunki z właściwą częstotliwością, atmosfera gęstniała. Świadomie nie rozpoczynałem grania na gitarze, czekając na odpowiedni poziom nastroju. Sygnałem rozpoczęcia akcji jest zazwyczaj spontaniczne zainicjowanie śpiewu przez któregoś z biesiadników. No i jedna z dziewczyn zaczęła cicho nucić melodię, która w Polsce jest znana jako „Bando, bando”. Dalej już poszło - jak „bomba w górę” na wyścigach konnych. Po paru godzinach żywiołowego śpiewu szeregi zaczęły się przerzedzać. Grubo po północy przy ogniu pozostało pięć osób. Tą piątą, czyli jedną osobą za dużo był jeden z Niemców, pełniących zapewne rolę psa ogrodnika.

Nazajutrz Tramp nie mógł odżałować sytuacji.

– Kurde, że nie mogliśmy wlać temu cerberowi jakiejś cykuty – biadolił.

Bowiem jedna z dziewczyn, ta która czekała do końca, wyraźnie wpadła mu w oko. I, co ciekawe, było to wzajemne oczarowanie.

– Nic się nie martw, na następnym biwaku jakoś sobie poradzisz – pocieszałem go.

Jednak, o dziwo, więcej się już nie spotkali na biwaku. Opiekunowie dziewczyn czekali na nie na mecie, załadowali kajaki na przyczepę, dziewczyny wsadzili do busu i odjechali w siną dal. Na szczęście podczas rozmów w trakcie wspólnego płynięcia zebrałem już potrzebne informacje. Dziewczyny podały cenę imprezy. Ten spływ kosztował je bardzo drogo. Wpadliśmy więc na pomysł, że możemy podobny zorganizować o wiele taniej. No i atrakcyjniej! Te propozycje spodobały się kajakarkom. Zdążyłem jeszcze wziąć adres od jednej z nich. Po przyjeździe do Warszawy miałem mnóstwo innych spraw na głowie i przypomniałem sobie o tym dopiero na drugi rok wiosną. Napisałem do dziewczyny ze stosowną propozycją, ale list wrócił z adnotacją, że adresat kilka miesięcy temu zmienił miejsce

zamieszkania. Mimo to dalej drążyłem temat prowadzenia spływów w Polsce dla turystów niemieckich. Korzystając ze znajomości niemieckiego przez Anię, córkę Kleo, rozesłałem do kilku niemieckich turystycznych ośrodków i uczelni w Berlinie stosowne komunikaty. Jednak żadne zgłoszenia nie nadeszły.

#### 4. Podchody na Rospudzie

Podróże, a zwłaszcza wyprawy kajakowe, to jest to co tygrysy lubią najbardziej. Tutaj były jednak zasadnicze problemy, bo Kleo bardzo bała się podjąć próby wejścia do kajaka. Ideałem byłoby wspólne przeżywanie wędrówek kajakowych, jest to niezawodny środek zacieśnienia związku dwojga ludzi. Kleo była wspaniałą kobietą, ale miała twardego charakter i skuszenie jej na wyprawy kajakowe było zadaniem ekstremalnym. Jednak obserwacja przepływających ludzi na skarpie we Frąckach i systematyczne, choć subtelne molestowanie odniosło skutek i kiedyś Kleo przełamała opory. Wsiadła w kajak i ....się nie przewrócił. Należało kuć żelazo póki gorące. Byliśmy akurat w Augustowie, więc wypożyczyłem kajak na przystani PTTK nad Neckiem. Korzystając z minimalnego stresu partnerki przy wsiadaniu odważnie płynąłem na jezioro Rospuda. Była piękna słoneczna pogoda, żadnego wiatru i płynąc wzdłuż malowniczych zalesionych brzegów niezbyt szerokiego jeziora dotarliśmy aż do ujścia rzeki Rospudy. Odłożyłem wiosło, kajak łagodnie kołysał się na wodzie..

– A co tam jest dalej – zapytała zaciekawiona kajakarka in spe.

– Dalej jest rzeka Rospuda, tą trasą płynąłem na mój pierwszy dłuższy spływ.

– Dokąd?

– Aż na Wigry, a stamtąd Czarną Hańczę i Kanałem do Augustowa.

– I nie wywróciłeś się?

– Nie, a dlaczego miałem się wywrócić? Popatrz, płyniemy już kilka kilometrów i nic się nie dzieje. Kajak jest wbrew pozorom stabilny. Bardziej obawiam się jazdy samochodem. Przecież corocznie ginie na polskich drogach około 5 tysięcy ludzi. A słyszałaś coś na temat śmiertelnych wypadków wśród kajakarzy?

– Nie.

– To co, chcesz płynąć dalej w górę rzeki?

Zauroczona pięknym krajobrazami skinęła głową. Zdopingowany nacisnąłem na wiosła. Początkowo płynęliśmy szeroką rzeką, porośniętą trzcinami. Po paru kilometrach z prawej brzeg się podniósł, pojawił się sosnowy las i wylot rzeki.

– Co to za rzeka?

– To Blizna. Tędy właśnie można dopłynąć aż do jeziora Blizna. Stamtąd jest kilkukilometrowa przewózka na Wigry i potem przez jezioro do Hańczy. Taka malownicza pętla kajakowa.

Popłynęliśmy dalej w górę Rospudy. Brzegi były nadal bagniste, ale w jednym miejscu pasażerka wypatrzyła w małej zatoczce gniazdo łabędzi. Dwa duże białe ptaki strzegły bezpieczeństwa gromadki szarych maluchów. Jeden z nich, zapewne tata, rozkładając groźnie na boki skrzydła z sykiem skierował się w kierunku intruzów. Przezornie podpłynąłem pod drugi brzeg, ale widok tego łabędziego gniazda na zawsze utkwiał w świadomości kobiety i często to wspominała. Chyba wtedy zrozumiała, że kajaki są piękne. Po jakimś czasie dopłynęliśmy do osobliwego miejsca. Z lewej strony wyrastała wysoka skarpa porośnięta sosnowym lasem. Tam znajdowało się pierwsza możliwość biwakowania. Kajak dobił do brzegu i wysiedliśmy by rozprostować nogi po paru godzinach w kajaku.

Ze wzruszeniem popatrzyłem na okolicę, było to bowiem moje kultowe miejsce. Kleo natychmiast zauważyła mój szczególny stan.

– Czy dzieje się coś o czym powinnam wiedzieć – zapytała czujnie.

– Wyobraź sobie, że tu jest mój prapoczątek. Przed wojną w tym miejscu po obu stornach rzeki spotykali się wieśniacy z dwóch wsi aby razem śpiewać. Przybywali z zachodu, z Topiłówki, gdzie żył mój ojciec i ze wschodu, ze Szczebry skąd pochodziła moja mama.

Kobieta uśmiechnęła się i popatrzyła mi uważnie w oczy.

– No, to teraz się nie dziwię, że taki jesteś. Pamiętasz, gdy pierwszy raz Cię spotkałem, to zapytałam: Gdzieś mi się taki urodził?

– To teraz wiesz, skąd mój ród – uśmiechnąłem się.

Przeszliśmy się po brzegu, po lewej ze skarpy tryskała woda.

– O popatrz, źródło – krzyknęła zdziwiona. – O, jaka zimna woda – dodała po chwili.

– Ta woda na pewno jest zdrowsza od Coca Coli – roześmiałem się. – Czy ty wiesz, że w tej rzece się topiłem.

– Jak to?

– Byłem wtedy w pierwszej klasie i w tym miejscu uczniowie byli na majówce. Wszedłem odważnie do wody, bo już trochę umiałem pływać i porwał mnie prąd rzeki. Całe szczęście, że niżej stał starszy kolega i mnie wyciągnął.

– To rzeczywiście miałeś szczęście.



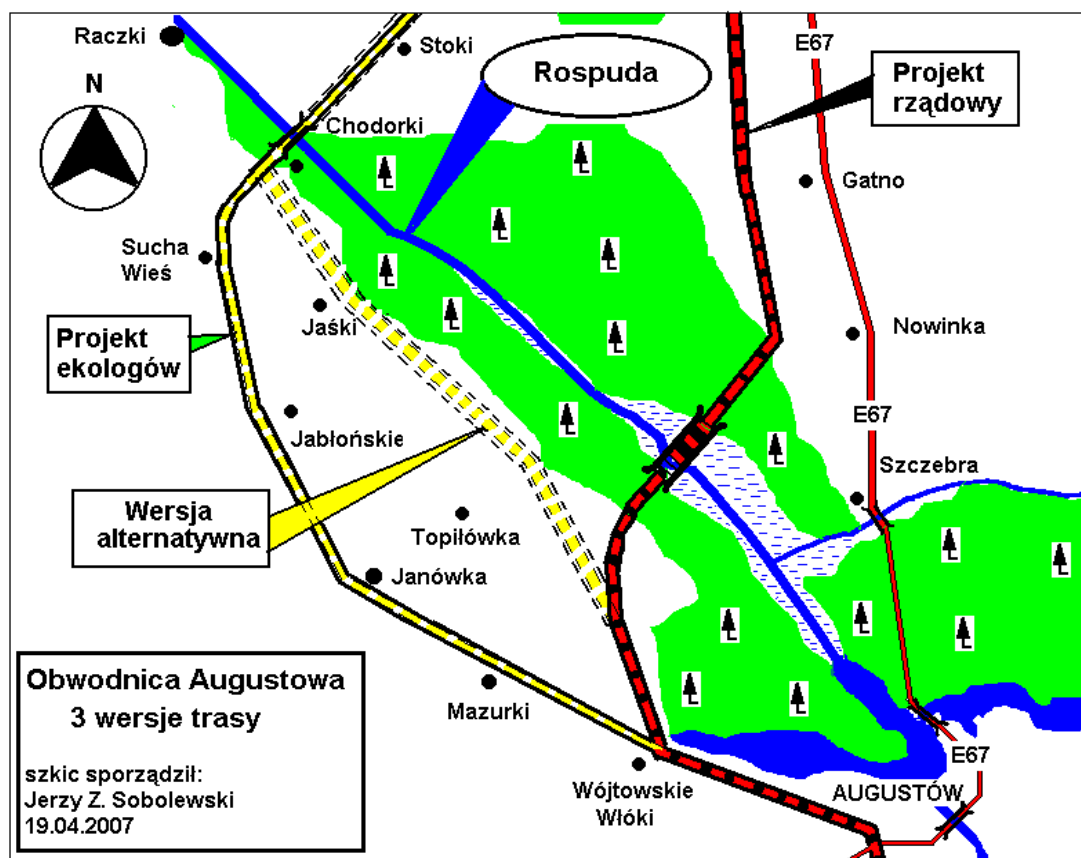
Ta uwaga przypomniała, że miałem szczęście nie tylko wtedy. Opowiedziałem więc o przygodzie jaka mnie spotykała, gdy płynęliśmy z Witią na rekonesansie krajowego sphywu Rospudą.

Dobiliśmy do tego miejsca wieczorem by rozbić biwak. Bez zbędnych słów przenosiliśmy z kajaków bagaże na niewielką skarpe. Jednak czułem przez skórę, że nie jesteśmy sami w tym miejscu. Ktoś nas musi obserwować. Witia też chyba miał podobne odczucia, bo założył pas z nożem i wziął do ręki siekierę. W pewnym momencie przerwaliśmy rozbijanie namiotu i bez słowa ruszyliśmy leśną drogą pod górę w las. Raptem z gęstwiny drzew wyjechał z hałasem konny wóz załadowany drzewem Woźnica, smagając batem konie zniknął w ciemnościach. Zapadła cisza, ale coś się jednak nadal czaiło w mroku lasu. Należało to sprawdzić, więc ruszyliśmy dalej. Raptem zza pnia sosny wyskoczył jakiś cień i pobiegł w ślad za wozem. Wróciliśmy na biwak, rezygnując jednak z rozstawiania namiotu. Bezpieczniej było spać na zewnątrz, zwłaszcza, że noc była ciepła. Ułożyliśmy się obok siebie na waleta, głowami w przeciwną stronę, ale długo, mimo zmęczenia, nie mogliśmy zasnąć. Zapewne drzemał w nas pradawny instynkt przetrwania. W tych lasach w czasie okupacji niemieckiej działał nasz stryj, dowódca oddziału partyzanckiego. Zapewne niektóre reakcje mamy w genach – zaśmiałem się na koniec opowieści.

- A kto to był w tym lesie? – spytała.
- Ludzie z pobliskich wsi, żyją z lasu i wody od wieków.
- Mogli was zabić?
- Gdybyśmy ich ścigali, to kto wie.

Popatrzyłem w zadumie na wschodnią, niską i bagienną stronę rzeki. Wiosną te tereny zalewa woda i robi się jezioro. To miejsce jest naturalną ostoją ptaków, zwierząt i roślin. Witia, który na tym terenie pracował w latach siedemdziesiątych jako nadleśniczy terenowy, proponował ustanowienie wzdłuż brzegów Rospudy parku narodowego. Projekt niestety nie przeszedł, a pewni ludzie zaplanowali właśnie w tym miejscu przebieg trasy Via Baltica. Tu, przez ten prawie kilometrowej szerokości bagienny teren miała przebiegać estakada mostowa dzieląca ten jednorodny obszar na dwie odizolowane od siebie części. A przecież zaledwie kilka kilometrów na północ, w okolicach Raczek las się kończył, nie było już bagna a rzeka szerokości kilku metrów miała wysokie brzegi idealne dla budowy mostu. Zresztą był tam od dawna most przez rzekę, która miała szerokość zaledwie kilkunastu metrów. Tamtędy właśnie biegła naturalna przeprawa zwana traktem napoleońskim, którym wojska francuskie szły na Moskwę. Natomiast projektowana budowa prawie kilometrowej przeprawy poprzez bagienny grunt, to było dosłownie wyrzucanie pieniędzy w błoto. Była to typowa dla III RP decyzja pogrążania kraju dosłownie w błocie błędnych działań. Witia znał kulisy i sprawców tej decyzji, ale siedział cicho. Bał się miejscowych układów.

Kilka lat później zaangażowałem się w odwołanie tej szaleńczej decyzji, ba, napisałem na ten temat parę artykułów a także wysłałem pismo do prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Zarówno w artykułach jak i piśmie dokonałem analizy budowy zarówno trasy jak i estakady, wykazując absurdalnie wysoki koszt budowy i duże straty społeczne.



W końcu, utopijną decyzję budowy przez bagna odwołano, głównie pod wpływem protestów ekologów ale też i zaleceń Komisji Europejskiej. Wtedy zaproponowałem zmianę trasy (patrz mapka). Miała prowadzić wzdłuż linii lasu, co pozwoliłoby wykorzystać zbudowany już wiadukt przez drogę w Wójtowskich Włókach. Chodziło mi również o uniknięcie kontrowersyjnego, chociaż proponowanego przez ekologów, przebiegu trasy przez okoliczne wsie. Przecież trzeba będzie płacić rolnikom odszkodowania, odcinając ich niekiedy od własnych pól. Skonsultowałem pomysł z Witą, który zna teren jak własną kieszeń. Zgodził się z moim pomysłem, więc wysłałem stosowną propozycję (wraz z mapką) do Dyrekcji Budowy. Dyrekcja odpisała mi uprzejmie, że już za późno na zmiany. Wiadukt zburzono, droga przez podwórka rolników spowodowała kolejne protesty, bo odszkodowania były za niskie w stosunku do poniesionych strat moralnych. Kto chce wpuszczać na własne pole kolumny tirów? Ile takich nieprzemyślanych decyzji wprowadza się w Polsce? Chyba nadal topimy pieniądze w błocie.

Jednak mieszkańcy Augustowa pragnęli wtedy jak najszybszej budowy, nieważnie w którym miejscu. Toteż najbardziej oburzyły mieszkańców protesty

ekologów. Ludzie chcieli po prostu zatrzymać jak najprędzej przejazd niekończącej się kolumny tirów przez środek miasta. Ich nie obchodziły koszty projektu i jego absurdalność, chcieli zaprzestać zabijania przechodniów. Na rodzinnym spotkaniu z okazji imienin mamy protest ekologów spotkał się ze zmasowaną krytyką.

– Gwiazda z Gdańska przyjeżdża i przywiązuje się do sosny. Dureń jakiś. Niech tu zamieszka i zobaczy jak ludzie giną – krzyczała oburzona jedna z sióstr. – Co go obchodzą nasze sprawy – poparła ją natychmiast druga.

Słuchałem tych narzekań i nie mogłem się nadziwić głupocie.

– Mieszkacie wszyscy nad Neckiem, prawda? – zadałem w końcu retoryczne pytanie.

– Tak, no i co z tego?

– A wiecie, że w tym miejscu gdzie ma biec estakada, rzeka praktycznie nie zamarza nawet podczas dużych mrozów.

– No to co?

– To wyobraźcie sobie, że na tej estakadzie spotykają się zimą dwa tiry z jadące w przeciwną stronę. Na jezdni jest ślisko, następuje zderzenie i samochody wpadają do bagna. A co będzie jak w jednym z nich, albo nie daj Boże we dwóch znajdują się jakieś trujące chemikalia.

– No i?

– No i zatruwają rzekę a następnie jezioro nad którym mieszkacie.

Zapadła cisza.

– A jeżeli chodzi o Gwiazdę, to go nie obrażajcie. To on był jednym z najmądrzejszych działaczy Solidarności a wcześniej założycielem Wolnych Związków Zawodowych w Trójmieście. To jest człowiek którego należy szanować. A Wałęsa był u niego początkowo chłopcem na posyłki.

– Dlaczego szanować? W telewizji mówią, że to jakiś oszołom. Nie podobają mu się przemiany w Polsce i ciągle krytykuje Wałęsę, mówiąc że ten zdradził Solidarność.

– Bo zdradził, był konfidentem UB.

– To nieprawda, sąd go uniewinnił. Mówią o tym media.

– A wy we wszystko wierzycie, tak? – spytałem jadowicie.

– A niby dlaczego nie mamy wierzyć?

Machnąłem ręką i zaprzestałem dyskusji. Nie przypuszczałem, że manipulacja uprawiana przez media dotknie także moje siostry. Wprawdzie to były ulubione córki mamy, ale nie przyswoiły sobie jej mądrości politycznej. Zwłaszcza naczelnej głoszonej przez nią zasady: „Pamiętajcie dzieci, żeby przeżyć trzeba być chytrzejszym od bolszewika”.

Siostry były zbyt młode, żeby to pamiętać, mama głosiła ta maksymę jeszcze za czasów powojennych, stalinowskich. Ale czy tak dużo się zmieniło od tych czasów?

## **5. Komary na Łażnej Strudze**

Kleo spodobało się pływanie kajakiem. Należało kuć żelazo póki gorące, więc zorganizowałem jednodniowy spływ z leśniczówki w Łozkach do Jałowego Rogu. Trudno nie oprzeć się urokowi Hańczy na tym odcinku, więc rybka połknęła haczyk. Następnego roku wybraliśmy się na pojezierze Elckie na rzekę Łażna Struga. Słyszałem o niej dużo pochlebnych recenzji, zwłaszcza od mego starego znajomego Henryka Sienkiewicza. Nie, nie był to znany pisarz ani jego potomek, ale Henio, znany kajakarz, u którego zdawałem egzamin na przodownika turystyki kajakowej. Starszy o 11 lat kolega - pływający od lat czterdziestych, organizator prawie dwudziestu zagranicznych spływów kajakowych za PRL-u (co było niekwestionowanym rekordem) i znany działacz Komisji Kajakowej przy ZG PTTK - miał co wspominać (niestety zmarł w maju 2015 roku). Parę wspomnień o nim w następnym podrozdziale.

Spływ na Łażnej Strudze zaczynał się corocznie w Boże Ciało. W tym terminie w kraju odbywało się wiele spływów, między innymi Międzynarodowy Spływ na Dunajcu. To święto kościelne i państwowe odbywa się zawsze w czwartki, więc wystarczy wziąć urlop na piątek i ma się do dyspozycji cztery dni wolne. Dostałem od Henia adres organizatora i zgłosiłem pisemnie swój akces. Przyjechaliśmy samochodem w środę po południu do siedziby PTTK w Ełku. Czekał na nas komandor spływu, sympatyczny facet po czterdziestce, w „cywilu” kapitan Wojska Polskiego. Okazało się, że spływ jest organizowany tylko dla nas, gości z Warszawy. Z braku innych uczestników spływ zamierzano bowiem odwołać. Ponieważ komandor, mający na imię Zbyszek, nie miał do nas telefonu - więc po naszym przybyciu zdecydował się, mimo wszystko, na przeprowadzenie imprezy. Znalazła się też następna dwójka uczestników, czyli córka kapitana z koleżanką. Natomiast obsługa techniczna imprezy zaszokowała. Byli to trzej żołnierze służby zasadniczej i ciężarówka marki Star służąca do przewożenia bagaży uczestników. Dojechaliśmy nad jez. Łażno położone na skraju Puszczy Boreckiej, na biwak niedaleko miejscowości Mazury. Żołnierze zapalili ognisko, zapadł wieczór, nieliczna grupka kajakarzy usiadła przy ognisku, opędzając się przed komarami. Mając wyrzuty sumienia, że naraziłem organizatorów na przeprowadzenie imprezy tylko dla nas, wyciągnąłem butelkę.

– Proponuję przejść na ty. Jerzy jestem – rzekłem polewając wodę ognistą.

– Zbyszek – odrzekł sympatyczny szef. – Pozwolisz, że poczęstuję moich żołnierzy?

– Oczywiście.

Znajomość została zawarta. Opędzając się przed komarami zapaliliśmy po fajce pokoju.

– Dużo ich tu dzisiaj - stwierdził Zbyszek.

– Rzeczywiście. Pamiętam podobną plagę na rzece Blizna. Byłem wtedy młodym chłopakiem, w dziesiątej klasie liceum. To był pierwszy etap spływu. Płynęliśmy Blizną pod prąd na biwak zaplanowany nad jeziorem Blizno. Im bliżej celu, tym rzeka stawała się płytsza i w końcu wzięliśmy kajaki na hol. To była harowa. Trzeba pamiętać, że kajaki były drewniane z kilem a nie plastikowe z płaskim dnem, jak te używane obecnie. W dodatku wszystkie bagaże woziliśmy w kajakach, a teraz mamy samochód do ich przewożenia. Około dziesiątej wieczorem, kompletnie wycieńczeni, dotarliśmy wtedy do uroczyska Powstańce. To było jedyne miejsce nadające się na biwak.

– Skąd taka nazwa?

– Znajdował się tam obóz powstańców styczniowych w 1863 roku. Miejsce było idealne wybrane, trudno dostępne, wokół lasy i bagna. Ale chyba powstańcy musieli mieć pieskie życie właśnie z uwagi na komary. My też, docierając w nocy, zostaliśmy tam zaatakowani bardzo gwałtownie. O, właśnie tak jak teraz.

Zapadła cisza, w której tym intensywniej słychać było natrętne brzęczenie. Nie sposób było nawet dłużej siedzieć przy ogniu, więc wszyscy skryli się w namiotach. Ale i w namiotach też trzeba było przeprowadzić pacyfikację wszędobylskich owadów wciskających się nie wiadomo jakimi drogami do środka.

W końcu bzykanie ostatnich napastników ustało po celnych ciosach zadawanych w świetle latarki. Zapadła cisza, z dali słychać było od czasu do czasu jakiejś dziwne odgłosy przypominające dudnienie. Gdzieś w pobliżu było zapewne gniazdo bąków, bardzo rzadkich ptaków w Polsce. Był to chyba ich okres godowy bo trwał prawie aż do świtu.

Wstał pogodny ranek, na szczęście bez komarów i trzy kajaki ruszyły na jezioro. Po przepłynięciu kilku kilometrów na trasie pojawiła się mała wysepka na której Zbyszek zarządził postój. Korzystając z okazji rzuciłem się do wody i odpłynąłem ostrym kraulem dosyć daleko od brzegu. Zawracając, zauważyłem ze zdziwieniem że dwa kajaki już odpłynęły. Na brzegu pozostała tylko Kleo wymachując rękami.

– Czyżby robiła gimnastykę? – pomyślałem zdziwiony.

Dopływając bliżej stwierdziłem przyczynę tych gwałtownych ruchów. Nad głowa kobiety krążył bowiem rój komarów.

– Komary w biały dzień na jeziorze? – zdziwiłem się odpływając pośpiesznie na wodę. – To mi się zdarzyło mi pierwszy raz.

Małą strugą wpłynęliśmy w wąskie jezioro Litygajno i następnie na urokliwą rzeczkę, płytką o dosyć szybkim nurcie. Przypominała nieco swym charakterem Rospudę w górnym biegu. W pewnym miejscu na rzece pojawiła się przeszkoda. Drzewo leżące w poprzek nurtu na wysokości około pół metra nad lustrem wody. Zbyszek położył się w kajaku, przepłynął jako pierwszy i zatrzymał się za przeszkodą. Jednak dziewczyny płynące za nim nie zdażyły się schować i broniąc się od uderzenia głowami o przeszkodę zaliczyły wywrotkę. Niby nic groźnego, bo rzeka była płytka, ale przecież mogły zawadzić głowami o dno. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło, jednak komandor wściekł się. Nic dziwnego, jego ukochana córka była zagrożona. Pomyślałem wtedy, że dobrze byłoby wcześniej nauczyć kobiecą osadę sztuki wiosłowania hamującego, zwanego uczenie promowaniem. Dziewczyny, traktując wywrotkę jako przygodę, radośnie chichocząc zmieniły ubrania na suche, Bez dalszych niespodzianek dobiliśmy do następnego biwaku w pobliżu mostu drogowego. Etap był dosyć krótki, więc rozbiliśmy namioty dosyć wcześnie po południu. Jednak, o dziwo, ataki komarów nie ustawały. Żołnierze zapalili ognisko, podkładając specjalnie mokre drewno powodujące powstawanie gęstych obłoków dymu. Jednak oczekiwanych skutków nie było, komary siadały na twarzy, rękach, wchodziły w oczy. Koszmar, jakiego nigdy wcześniej ni później nie przeżyłem. Już lepiej nie opisywać reakcji Kleo.

Miała wtedy niestety pecha. Pływaliśmy jeszcze razem sporo lat, jednak najgroźniejsze lub niezbyt przyjemne sytuacje na kajakach zdarzyły się właśnie wtedy kiedy pływaliśmy razem. Oprócz kilkunastu spływów krajowych, zaliczyliśmy też kilka spływów zagranicznych. Na Węgrzech płynęliśmy Dunajem z Komarna do Budapesztu. Był to kolejny spływ przyjaźni z Węgrami (im. Sobieskiego), Henio pełnił tam rolę pilota. Komandorem był Józek Rusiecki z Torunia. Rzeka miała szerokość chyba kilku kilometrów i boczny bardzo silny wiatr groził wywrotką. Na Litwie płynęliśmy uroczą rzeczką Dubisą i Niemnem. Na jednym z biwaków przeżyliśmy nocne baraszkowanie młodych podpitych i agresywnych Litwinów po biwaku. Z kolei na Ukrainie (też sprawka Henia) integracyjne z Ukraińcami pływanie Bugiem było całkiem przyjemne. Jednak stan sanitariatów na biwaku był nie do opisanego i wtedy Kleo zbuntowała się.

– Pływaj sobie sam. Albo z Heniem! – dodała po chwili.

Co też uczyniłem Pływaliśmy na Ukrainę wiele razy. Komandorem był (i jest) niesamowity człowiek – Lechosław Flaga. Wspaniały facet z Zamościa, w „cywilu” pułkownik, absolwent Wojskowej Akademii Technicznej (WAT).

Najprzyjemniejsze wrażenia zostały nam jednak ze spływów w krainie między Rospudą a Czarną Hańczą.

## 6. Henryk Sienkiewicz - wspomnienia

Jak już wspomniałem od czasu do czasu pływałem razem z Heniem, który wyszukiwał atrakcyjne imprezy. To on namówił mnie na takie spływy jak: u Bolta, u Papierników czy u Flagi. Spotykaliśmy się także po sezonie na piwie, najczęściej na PI. Zbawiciela w barku Karo naprzeciw tęczycy, która ma skłonności do samozapłonu więc stale pilnuje jej kilka policyjnych radiowozów. Nie podoba się ona warszawiakom za wyjątkiem pani Gronkiewicz-Walcz, więc powinna ona opłacać jej odbudowę i strzeżenie z własnej, a nie naszej kieszeni. W tym barku dyskutowaliśmy z uroczym gawędziarzem o bieżącej polityce. Obaj mieliśmy jednakowe zdanie na to co się dzieje w Polsce po zmianie systemu w 1989 roku, więc spotkania odbywały się w atmosferze wzajemnego zrozumienia. Jednak po paru piwach siwowłosa pan ubrany w nienaganej bieli koszulę i pod eleganckim krawatem często powracał do wspomnień. Najczęściej wspominał swoje spływy zagraniczne w Jugosławii.



Henio u Bolta na Drwęcy, 2000 r (?)

– Czasami bywało niebezpiecznie. Pamiętam raz na spływie międzynarodowym na Neretwie. Za Mostarem wpada do niej rzeka Buna i tworzy się tam olbrzymie bystrze z wirami. Jakiś Niemiec przepłynął raz, spodobało mu się, wziął kajak na plecy spróbował jeszcze raz. Ale zrobił jakiś błąd i woda wepchnęła kajak pod duży kamień w którym woda wyłobiła wnękę. Wskoczyliśmy na ten kamień i za pomocą lin próbowaliśmy go wyciągnąć z kajaka (siedział w fartuchu) Jednak nie daliśmy rady, mimo że przy wyciąganiu połamaliśmy mu nawet ręce. No i się utopił, krzycząc do końca żeby go ratować. Wyciągnęliśmy trupa.

Zapadło milczenie. Myśląc o tym przykrym wypadku pociągnęliśmy po łyku piwa

– Ja przepłynąłem tamtędy raz i powiedziałem: nigdy w życiu – dodał. – Prowadził nas przewodnik jugosłowiański z klubu kajakowego, przepłynęliśmy za nim. Udało się.

Po drugim kuflu i przeszedł na weselszą opowieść.

– Wyobraź sobie taką sytuację. Autokar marki Leyland jest załadowany ludźmi, bagażami i składakami. Upał jak jasna cholera. Jechaliśmy z miejscowości Czakor górską drogą do Ochrydu. Na ostrym zakręcie kierowca zatrzymał się bojąc się jechać dalej. Nie było gdzie wysiąść, bo z jednej strony pionowa skała a z drugiej przepaść. Znaleźliśmy się w matni, bo do tyłu nie można się było wycofać, a do przodu też nie, bo było ryzyko spadnięcia w przepaść. Co robić? .W końcu po analizie sytuacji kierowca zdecydował się jechać. Ruszył bardzo wolno, a my przytknięci nosami do okien obserwowaliśmy jak tylne koła jak zbliżają się nieuchronnie do krańca drogi. Z tyłu były koła bliźniaki, w pewnym momencie jedno z nich było już w powietrzu.

– Żebyś ty wiedział jakie to było przeżycie dla nas w środku wozu. – tu Henio dla podkreślenia powagi sytuacji łyknął spory haust piwa.

– No i co? Udało się – spytałem podekscytowany.

– Przejechał, inaczej byś ze mną nie rozmawiał.

– A nie mieliście ze sobą przewodnika? – spytałem nieśmiało.

– Mieliśmy. Był z nimi Branko,. Ale to nie była jego wina, tylko droga była za wąska.

Roześmialiśmy się. Branko, Jugosłowianin urodzony w Pitocie był często opiekunem wycieczek kajakowych Polaków. Bardzo lubili się z Heniem, głównie dlatego, że obaj lubili balangować. Kiedyś mieli dosyć śmierdzącą przygodę, o której Henio tak opowiadał:

– Byliśmy niedaleko granicy albańskiej. Śpimy w jakiejś szkole. Branko mówi do mnie: „Heniu choć pójdziemy na jakiś mały koniak”. Niedaleko był bar. Wypiliśmy



po jednej lampce, potem po drugiej. Przysiadł się jakiś kapitan kutra rybackiego. No i wiesz – tu smakosz raki uśmiechnął się niewinnie. – Rano się budzę, smród jak cholera. Podnoszę głowę i rozglądam się. Leżę na pokładzie jakiegoś statku. Upał jak jasna cholera. Tu leży jedna dziwka, tam druga. Okazało się, że kapitan zaciągnął nas na ten kuter. Wracamy do szkoły, gdzie spali pozostali uczestnicy spływu. Ja chcę coś powiedzieć i raptem złapała mnie czkawka, taka pijacka. Na to wstał Stryj i powiedział:

– Degraduję Ciebie jako komandora spływu.

Stryj, to było pseudo Błażejewskiego, jednego z najstarszych stażem kajakarzy w Polsce. Pływał jeszcze przed wojną na własnoręcznie wykonanym kajaku i cieszył się dużym autorytetem wśród braci kajakarskiej.

– Gdyby Stryj częściej chodził na biesiady z Jugolami, to by poznał lepiej serbski. Przez ten niedostatek o mało co się nie utopił – rzekł birbant śmiejąc się.

– A jak to było? – spytałem, będąc oczywistym zwolennikiem bratania się z ludnością gościnnej Jugosławii.

– Na rzece Drinie (Drivie?) znajduje się w jednym miejscu wodospad wysoki na jakiś 4-5 metrów. Jest usytuowany z prawej strony rzeki i jak się chce skoczyć to trzeba płynąć bardzo szybko. Zrobili to zresztą nasi przewodnicy skacząc jeden po drugim. Ale, żeby nie ryzykować, można było ominąć niebezpieczne miejsce płynąc prosto.

– No co, skoczyłeś?

– Zdecydowałem się skakać. Wysadziłem moją żonę Alę, dałem ostro na wiosła i skoczyłem. Udało się. Natomiast z tyłu płynął bardzo wolnym tempem Stryjo. Stojący tam ratownicy krzyczą do niego:

– Prawo, prawo. A trzeba dodać, że prawo to po serbsku znaczy prosto.

– Stryj skręcił w prawo, prosto na wodospad, spadł dziobem kajaka w dół prosto w cofkę. Miał zapięty fartuch, więc został w kajaku, który zachowywał się jak spławik, góra dół, góra dół. Jak kajak w górze, to Stryj łapie powietrze. Jeden z przewodników podpłynął i wiosłem popchnął kajak, który wypłynął z cofki.

Znów przepiliśmy po łyku.

– Albo inny wypadek. Było to na Dunaju, w miejscu zwanym Żelazne Wrota. W tym miejscu rzeka szerokości 4 kilometrów zwęża się na szerokość 400 metrów, więc wybrano to miejsce na budowę tamy. Zbudowano także objazd tego miejsca bocznym kanałem i aby ostrzec statki płynące rzeką specjaliści strażnicy trąbili na trąbce.

– Dlaczego na trąbce – zaciekał się Jan.

– Tam jest straszny huk, więc innych sygnałów akustycznych nie było słychać. Akurat zatapiano tam barki powiązane stalowymi linami. Były załadowane kamieniami i miały tworzyć fundamenty pod tamę. My, w trzy kajaki płynęliśmy na końcu. Kajaki głównej grupy skręciły w kanał a my płyniemy prosto na te barki powiązane tymi linami grubymi jak ręka Pudziana. Nie ma mowy o wycofaniu się, nurt jest za szybki. Między barkami jest trochę miejsca, taka luka, a dalej spadek. Skaczymy. Przed nami 2 wiry jeden duży, drugi mniejszy. Trzeba szybko się orientować i skierować się na grzebień między wirami. Nam się udało, ale z tyłu płynęła jakaś Niemka w żółtej plastikowej jedynce. Kajak, jak do dziś pamiętam, miał wymalowaną na burcie nazwę „Pastille”.

– Masz dobra pamięć – pokręciłem głową. – Przecież to było ponad czterdzieści lat temu.

– Człowieku, takie rzeczy pamięta się do śmierci. Bo właśnie śmierć się o nas ocierała – wykrzyknął podekscytowany narrator. – Pamiętam także, że Niemka była bez nogi.

– Jak to?

– Poczekaj, nie ponaglaj mnie – krzyknął. Ten duży wir wciągnął ją pod wodę. Razem z kajakiem. Kajak wypłynął trochę dalej, a ona trzymając się burty płynęła obok, miała na sobie kapok. To ją uratowało. Zabraliśmy ją do środka kajaka. Stąd pamiętam, że nie miała nogi.

– Ciężko tak z wody, wciągnąć kogoś do kajaka – wyraziłem wątpliwość.

– Byliśmy w amoku, ona ledwie żyła, jakoś się udało. Trochę dalej dogoniliśmy jej kajak, utknął przy brzegu. Do kajaka było umocowane zapasowe wiosło, bo to którym wiosłowała, wyrwał jej wir.

– Jest co wspominać, szkoda, że Ciebie tam nie było – rzekł Henio pociągając łyk piwa. - Jugosławia to jest najpiękniejszy kraj jaki ja zwiedzałem, Hiszpania wysiada. A jak się bawią Jugole. Jakie śpiewy. Ty byś się tam przydał z gitarą, bo oni byli dobrzy w śpiewie, a nasi – tu kolega machnął ręką i pociągnął łyk piwa. Po chwili ożywił się.

– Pamiętam jak Branko wymyślił zaślubiny kajakarzy z Polski z morzem. Wypływamy wieczorem całą grupą na morze i puszczamy wianki ze świeczkami. Jest już zmrok i raptem zapalają się potężne reflektory od strony morza. Na pełnym gazie pędzi na nas okręt straży przybrzeżnej, taki duży ścigacz, a może parę ścigaczy. Tych reflektorów jest dużo. Widocznie naruszyliśmy jakieś przepisy graniczne i chcą nas aresztować. Okręt pod pływa bliżej, spuszcza specjalne windy i ładują kajaki z nami na pokłady. Potem pełnym gazem do portu, to chyba był Dubrownik. Schodzimy na ląd i prowadzą nas do eleganckiej restauracji. A my w krótkich majtkach, w koszulkach spływowych. Tam już czekają na nas. Zastawione stoły, oficjele. Sadzają mnie obok elegancko ubranej kobiety, słynnej śpiewaczki – tu Henio wymówił jej

nazwisko – no i zaczynają się przemówienia, toasty, a potem tańce. Gra orkiestra, piosenkarka śpiewa dla nas, dla mnie. Ach, szkoda słów. Nigdy tego nie zapomnę.

Tu Henio pograżył się w nostalgicznej zadumie i dopił piwo.

– To może jeszcze po jednym – zaproponowałem, by przywrócić go do rzeczywistości.

– Chętnie. Ale czekaj, wypijmy coś innego. Po czym zwrócił się do kelnerki – Kochana, całuje rączki. Poproszę dwa winiaki.

To była nowość, mocniejszy alkohol pijaliśmy zazwyczaj pod jakąś rybkę na spływie. Nie wiedziałem wtedy, że to było nasze ostatnie spotkanie. Miał swoje lata i ostatnio kłopoty z oddychaniem. Zauważyłem jednak, że po degustacji koniaku oddech mu się jakby wyrównał. To mnie zobligowało do zamówienia następnej kolejki. Ale w międzyczasie zapytałem go o początki kajakowania.

– Pierwszy raz byłem na kajakach w 46 roku. Drewniane kajaki były z Wagabundy. Pływaliśmy na Niegocinie, tam gdzie Gałczyński w leśniczówce Pranie pisywał swoje wiersze. Raz płynęliśmy przez Śniardwy i zabiwakowaliśmy w namiotach na bindudze naprzeciwko Czarnej Wyspy. Niedaleko była duża łąka na której dziewczyna pasła krowy. Widocznie tam też spała, bo w nocy rozległy się straszne krzyki. To ona krzyczała. Złapaliśmy za wiosła i popędziliśmy jej na ratunek. Okazało się, że to jakieś łobuzy przyplłynęły żaglówką i chciały ją zgwałcić. Popędziliśmy drani. A to była córka sołtysa. Trzy dni żeśmy u niego pili.



Henio u Flagi na Bugu, 2006 r

Tutaj Henio uśmiechnął się z zadowoleniem. Kochał takie biesiady, zresztą podobnie jak ja. Parę lat wcześniej spotykaliśmy się w większej grupie. Ale to się już skończyło...



Spotkanie „na szczycie” (chyba u Bolta na Drwęcy, 2003 r ?). Od lewej: Józek Rusicki, Henio Sienkiewicz, Waldek Schmidt, Janusz Tichy, autor, Antek Pieczyński

## Spis treści

Wstęp.....	2
Rozdział I. <b>Spływ na Jezioraku 1980</b> .....	4
Rozdział II. <b>Obrazki ze spływu na pojezierzu augustowsko-suwalskim 1981</b> ....	22
Rozdział III. <b>Nad Czarną Hańczę (i nie tylko)</b> .....	64
1. Jak mama Trampa żeniła.....	64
2. Sielawa we Frąckach.....	66
3. Niemki na Hańczy.....	72
4. Podchody na Rospudzie.....	79
5. Komary na Łażnej Strudze.....	84
6. Henryk Sienkiewicz – wspomnienia.....	87